

Nr 9/10

WRZESIEŃ
/PAŹDZIERNIK
2004



PEGAZ LUBUSKI

ISSN: 1732-1069

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
GORZOWSKI KLUB LITERACKI ZLP

Katarzyna Szmidt

O pisaniu, pisarzach i miłości do ludzi

Wywiad z ojcem

Ireneusz Krzysztof Szmidt (pisarz, poeta – autor czterech książek poetyckich – ostatnia „Spoza milczenia”, reżyser, krytyk teatralny tygodnika „Ziemia Gorzowska”, wiceprezes Lubuskiego Oddziału Związku Literatów Polskich):

— Może ja zacznę ten wywiad, pozwolisz?

Katarzyna Szmidt (studentka IV r. dziennikarstwa na UZ):

— **Ale to wbrew dziennikarskim regułom. Jeśli pozwolę, zburzysz mi plan tej rozmowy, który sobie, nie bez trudu wymyśliłam.**

— Bardzo Ci na nim zależy? Może właśnie taki początek, odwrócenie kolejności pytań, pozwoli mi dostrzec w Tobie, moim dziecku, dorosłego człowieka, który swoje relacje ze światem go otaczającym przeniósł poza rodzinę, poza krąg podstawowych pytań o codzienną egzystencję, o wyniki w nauce, o zakres wolności tolerowanej w domu itd. Bardzo jestem ciekaw Twoich pytań, których mi dotąd nie zadałaś. Ja jeszcze nie zadałem Ci przynajmniej jednego: co o mnie wiesz, dorosła córeczko?

— **Na pewno tyle, że bardzo mnie kochasz.**

— *I jak tu można z Tobą poważnie rozmawiać? Pytaj więc według swego planu...*

— **Czy miłość, tato, to nie jest sprawa poważna?**

— To najpoważniejsza sprawa na świecie. Dwadzieścia jeden lat przed Twoim narodzeniem, w warszawskim tygodniku „Kierunki” wraz z kilkoma młodymi poetami ze Szczecina ogłosiłem manifest założonej przeze mnie Grupy Poetyckiej „Kontrasty”. W nim, poza niezbyt wówczas miłymi komunistycznej władzy oświadczeniami w rodzaju: „Twórczość jest możliwa tylko w ramach wolności światopoglądowej i pełnej tolerancji” znalazły się słowa o wielkiej sprawczej sile miłości, która znajduje się u podstaw każdego boskiego i człowieczego dzieła.

— **Ale swoją pierwszą poetycką książkę „Kreska na twarzy” wydałaś, jak wiem z dostępnej w leksykonach biografii...**

— Aha! Bo nigdy mnie o to nie pytałaś...

— **... dopiero rok później. Czy łatwiej o debiut było w tamtych czasach, kiedy młodzi poeci łączyli się w grupy?**

— Może łatwiej było uzyskać kolumnę poetycką w pismach, ale o debiucie książkowym decydowały wydawnictwa, które drukowały poetów tylko z rekomendacji znanych krytyków. Mój debiut recenzował w Wydawnictwie Poznańskim Feliks Fornalczyk i profesor UAM Jerzy Ziomek. Nie istniała inna możliwość zaistnienia na ogólnopolskim rynku literackim. Nie można było tak jak dziś wydać książki własnym nakładem, nawet jeśli miało się dużo pieniędzy.

— **Nurtuje mnie jeszcze jedno pytanie. Jeśli miałeś wtedy tyle miłości, to czemu nie urodziłam się wcześniej?**

— Ówczesne moje życiowe partnerki najlepiej się sprawdzały jako muzy poezji lirycznej...

— **Za wiersze miłosne najbardziej cenili Cię krytycy... Piszesz je zresztą do dzisiaj. Czy, powiedzmy górnolotnie, płonie w Tobie jeszcze ogień wielkich natchnionych miłości?**

— Powiedzmy mniej górnolotnie. Nigdy nie wygasł żar serca – wystarczy dać mu trochę więcej tlenu.

— **Rodzinne miasto, Zgierz, zamieniłeś na Szczecin, jako najpierw miejsce studiów a później stałego zamieszkania oraz pracy twórczej i pedagogicznej. Nie żal Ci było po prawie czterdziestu latach opuścić przyjaciół i to piękne miasto dla Gorzowa?**

— Żal. Ale Ty bardzo chciałaś się uczyć w prywatnym liceum, a to kosztowało zbyt wiele jak na portmonetkę poety i już wtedy nauczyciela-emeryta, więc gdy zdarzyła się okazja podjęcia dziennikarskiej współpracy z „Gazetą Nową” i z „Ziemią Gorzowską”, długo się nie namyślałem. A potem wsiąknęłam w to miasto także z bardziej, jak wiesz, osobistych względów.

— **Ostatnim ogniwem łączącym Cię ze Szczecinem, była przynależność do tamtejszego Oddziału Związku Literatów Polskich. Długo odrzucałaś propozycje przejścia do Oddziału Lubuskiego, jakie składał Ci prezes Eugeniusz Kurzawa. W końcu uległaś, dlaczego?**

— Pragmatyzm wziął górę nad sentymentem. Od pewnego czasu dość intensywnie zająłem się pracą na rzecz integracji gorzowskiego środowiska pisarskiego wokół Klubu Literackiego ZLP. Powstały korzystne warunki, dzięki patronackiej życzliwości dyrekcji WiMBP. Udało mi się stworzyć – na razie warsztatowy – miesięcznik stricte literacki „Pegaz Lubuski”, który mam nadzieję, stanie się ważnym kulturotwórczym znakiem Gorzowa, a później może i regionu. Myślę, że dzięki niemu wzrośnie aktywność twórcza miejscowych pisarzy. Ukazuje się coraz więcej książek. Liczba członków ZLP w Gorzowie przekroczyła minimum statutowe do powołania samodzielnego Oddziału w tym mieście. Jest nas teraz dziewięciu i tyłuż kandydatów, a spodziewam się decyzji Komisji Kwalifikacyjnej Zarządu Głównego przynajmniej status członkowski kolejnym autorom gorzowskim. Można zacząć myśleć o secesji. Nie ukrywam, że potrzebne mi było poparcie tej inicjatywy przez kolegów z Oddziału Lubuskiego.

— **Na ostatnim zebraniu wyborczym w Zielonej Górze wybrano Cię wiceprezesem Oddziału Lubuskiego. Jak to się ma do zamierzonej secesji? Chcesz rozłupać duży i silny organizm na dwa mniejsze?**

— Wzrastająca, także dzięki inwazji autorów z Gorzowa liczba członków Oddziału, nie idzie w parze ze środkami na jego utrzymanie zdoby-

wanego niemałym wysiłkiem przez pisarzy zielonogórskich. A trzeba je jeszcze podzielić na Kluby w Gorzowie, Żarach, Żaganii i Głogowie. Odeście gorzowian może bardzo poważnie odciążyć Oddział w Zielonej Górze. Stąd jego poparcie dla tej inicjatywy. Ale przedtem trzeba uzyskać zapewnienie dotacji z budżetu miasta Gorzowa i Sejmiku Wojewódzkiego. A Gorzów, choć wydał kilku świetnych pisarzy – przypomnijmy: Papsza, Irena Dowgielewiczowa, Włodzimierz Korsak, Zdzisław Morawski – nigdy nie zabiegał, bo nie miał ambicji tak jak inne stolice województw, posiadania własnej organizacji pisarskiej nobilitującej to miasto. Słupsk, by uzyskać niezbędną do założenia Oddziału ZLP statutową liczbę pisarzy z cenzusem oferował wille chcącym tam się sprowadzić. W Gorzowie już są pisarze z cenzusem, jest biuro i miejsce spotkań w bibliotece na Sikorskiego – potrzebne są tylko środki na działalność wydawniczą i merytoryczną a dziś o takie nie jest wcale łatwo. Stąd droga do secesji jeszcze nieco przymglona.

– Odlóżmy zatem ten temat aż na tej drodze pogoda nam się wyklaruje i wróćmy do wątków bardziej osobistych. Powiedz, czy dzisiaj warto być pisarzem i co to w ogóle znaczy być pisarzem?

– Odwrócę kolejność: być pisarzem to znaczy nie tylko książki pisać ale także być sejsmografem nastrojów społecznych i diagnostą chorób narodu, w którego obywatelskim krwioobiegu sam krąży i jako obywatel funkcjonuje. Niech przykładem trafnej diagnozy będą słowa Norwida o Polsce jako o wielkim sztandarze narodowym, ale o skarłałym społeczeństwie obywatelskim. Z orzekania diagnoz, ze stawiania trudnych pytań, z uważnego przyglądania się naszej, coraz wyraźniej kształtującej się rzeczywistości nikt i nic, nawet dzisiaj, pisarzy nie zwalnia. Winni oni znów poczuć się sumieniem i konstruktorem odnowy moralnej polskiego społeczeństwa na drodze do zjednoczonej Europy. Tak jak kiedyś, w historii, gdy przed narodem stawały wiekopomne wyzwania. Przez ostatnie dziesięciolecia zapomniano o polskiej inteligencji, o pisarzach – „inżynierach dusz ludzkich”. Ubierano ich w uprzęż doraźnych politycznych celów. A cel dla pisarza winien być jeden przed wszystkimi innymi: stworzyć swoje dzieło dla człowieka. Z miłością otwierać go na miłość do innych ludzi – współprac, przyjaciół i przecież także wrogów...

Dawniej konwencja „bycia pisarzem” i „bycia wobec pisarza” była wyraźna i wiadoma, ale tak formą przerośnięta, że dziś nie do pomyślenia. Wdzięczne społeczeństwo ani myśli kupować Szymborskiej (choć pewnie lepsza jest od Konopnickiej) dworku w jakimś tam dajmy na to Żarnowcu. Dostała „kasę” w Sztokholmie, niech sobie sama kupi! Żaden szewc za darmo nie zrobi butów Różewiczowi na Jubileusz, jak ów warszawski w 1879 roku Kraszewskiemu. A co dopiero mówić o pisarzach z lubuskiej prowincji?

– To z czego żyje dziś pisarz?

– Z pisania książek przy braku dystrybucji centralnej i obowiązkowej, jak za czasów Składnicy „Domu Książki”, autor dziś nie wyżyje, choćby książkę za książką wydawał. Hurtownicy żądają samych czytad. Wydawcy płacą mu książkami, które sam musi sprzedawać podczas spotkań autorskich, jeśli umie je sobie zorganizować. Dziś pisarz, żeby móc sobie pozwolić na komfort pisania, musi mieć etat, rentę lub emeryturę. A na komfort wydawania książek pokazne konto w banku lub zamożnych przyjaciół... To wszystko co kiedyś miał pisarz, dziś mają inni: sławę – gangsterzy, sportowcy i aktorzy filmowi; rząd dusz – gadające głowy w telewizji; autorytet – proboszczowie i pan prezydent; miłość narodu – papież; pieniądze – biznesmeni, banki i złodzieje; wpływ

na los kraju – politycy; „oglądalność” – seriale; popularność – piosenkarze i „idole” a zasługi – umarli...

– To co ma zrobić pisarz, żeby zaistnieć dziś w zbiorowej wyobraźni?

– Musi przyjąć do wiadomości (smutnej niestety), że literatura traci dziś samoistną wartość. Częściej staje się surowcem, półproduktem dla mediów i on jej twórca, będzie się liczył na tyle, ile tworzywa „wyjściowego” dostarczy adaptatorom, scenarzystom, reżyserom. A i to nie jest pewne, że zaistnieje, że ocali swoje nazwisko, bo mało kto je zauważy na szybko biegnących przez ekran napisach końcowych, żartobliwie nazywanych w branży „listą płac”. Ale oby jak najwięcej na nich było nazwisk pisarzy lubuskich.

– Gdzieś czytałam, że prawdziwi, profesjonalni artyści tworzą dla pieniędzy, a o sławę zabiegają tylko grafomani. Nie chciałeś nigdy być sławnym?

– Brakowało mi ciągle czasu na pisanie. Za dużo zabrała mi go praktyka teatralna i pedagogiczna. W dziedzinie Teatru Poezji otarłem się przed laty o granice sławy, realizując spektakle, które przyniosły mi kilkadziesiąt nagród na ogólnopolskich festiwalach. Po-

święcono mojej metodzie i poetyce teatralnej wiele szkiców krytycznych i esejów. Kilka tomików poetyckich i tyleż nagród na konkursach literackich, jeden wystawiony dramat w prowincjonalnym teatrze, to za mało na sławę literacką. Tym bardziej, że dziś osiąga ją się częściej za pomocą kosztownej reklamy niż wartością napisanej książki.

– A jest w poezji, literaturze jeszcze miejsce na ideę?

– Jeśli zauważasz, że go brakuje, to wiedz, że być powinno. Idee rodzą się z marzeń. Są one projekcją nieograniczonej twórczej myśli. Dzieło natchnione ideą, określone wyraźnym światopoglądem

w historii literatury pozostaje dłużej od wykalkulowanego bieżącej koniunkturą.

– Księgarnie pełne są książek, zwłaszcza wydawanych na zagranicznych licencjach. Nie brak też czytelników. Może idzie ku lepszemu i dla polskich pisarzy?

– Może idzie, ale nieprędko będzie lepiej. Powszechne łaknienie kultury wyższej przyjdzie wraz z dobrobytem za lat kilka lub kilkanaście. Ale teraz musimy przynajmniej zadbać, by nie było gorzej. Pamiętaj te przedreferendalne telewizyjne wypowiedzi setek politycznych oszołomów, którzy namawiali naród, by cofnął się w swym rozwoju o lat kilkadziesiąt lub kilkaset, w złudnym poczuciu, że jest Wielki i sam w izolacji od innych światłych narodów zbuduje sobie szczęśliwą przyszłość? Po to są pisarze i poeci, dziennikarze, ludzie kultury i sztuki, żeby rozjaśniać Polakom prawdziwą drogę do ich szczęścia.

Ludzie ze świecznika też o tym powinni pamiętać. Powinni znaleźć w swej politycznej pracy przynajmniej chwil parę od czasu do czasu, na zastanowienie się jak nam pomóc, na rozmowę z nami, na organizację środków, by twórcy, którzy z wyboru nie produkują dóbr do bezpośredniej konsumpcji, nie żyli na granicy ubóstwa. By mogli wydawać swe książki nie za własne pieniądze, ciężko uciulane na etacie w hurtowni, lecz za środki przypisane im w budżecie gmin, miast, województw i kraju. By mieli czasopisma, w których głosić będą swoje diagnozy, kreować marzenia i interpretować twórczo rzeczywistość. I by ich książki znów mogły gościć W KAŻDYM POLSKIM DOMU... To chciałaś usłyszeć?

– Tak. Ale pytań mam o wiele więcej. Niektóre dopiero teraz się zrodziły.

Do następnej takiej rozmowy, Tato.



Warto

Od marzenia do marzenia
od zamysłu do realizacji
zdążamy
własne kąty
snobistycznie zapełniamy
nie zawsze koniecznymi
potrzebami

wabi nas przemijalne

a może czasem warto
przyhamować
posegregować doznania
zastanowić się – jakimi
wartościami
umeblować serce

31.VII.2004 r.

Dożywianie

Taka Jedna
latami ciułała...
nie założyła rodziny
nie zjeździła kraju
– nie poznała smaku
bliższych
ni dalszych cudów świata
Przyszedł wiek – krewniacy
obietnicami opieki obalamucili
rozdrapali dorobek i sterana,
wyprawili
do człowieczego schroniska

taki nie jeden
swoimi łzami polewa
własne
natrętnie nawracające
wspomnienia ...

30.VII. 2004 r.

Bez przeprosin

Ziemię moja matko
górami garbata
z włosami drzewostanu
i wszelkich porostów
z żyłami cieków otwartych
i przed ludzkim okiem
zakrytych
w twoich trzewiach
bogactwo kopalin
rodzajowi ludzkiemu
przydatnych
Jak cię potraktować ziemio
jakim trafnym nazwać imieniem
rodzisz i karmisz
i co urodziłaś
zachłannie trawisz
bez żadnych przeprosin

11.VIII.2004 r.

W parku Wiosny Ludów

spoglądam na drzewa...
tak niedawno byliśmy
niedojrzali
i ta głęboka zieleń
tryskała soczystością

niebawem będzie jak żółć
lub czerwień, ochra, cynober

porzewieje
jak my

i wróci – do ziemi

9.VIII.2004 r.



rys. M. Ówiertnia

Rysopis

Za oknami życie
mimo nocy toczy się wartko
– przed oknami – wśród ścian
samotności wegetacja ...
wnet środek lipca a tu
ciągły deszcz i chłód...
do okna się zbliżam
z ziębniętą szybą
rozpalonym czołem ogrzewam
zbieram myśli – potrzebne
jednak jest
nawet samotne czoło
choćby z ziębniętej nocą, szybko

– nic nie jest bez sensu –

z zebranych okruchów doznań
i kawałka nocy
notuję
rysopis chwili.

14.VII. 2004 r.

Cywilizacja

po znojnym dniu
nastaje nocna cisza

– a gdzież to prawda?

trzecia trzydzieści nad ranem
od wieczora źrenice się
rozszerzają
na miejskiej ulicy
psie ujadanie rozdziera
powietrze
zmęczenie w uszach pulsuje
samochodowy hałas
sen z oczu wypędza

i jak tu uzbroić się
w siłę na nowy dzień?

10.VIII.2004 r.

Pochodnie

Ludzie twórczy
nie oglądają się za siebie
nie czekają
że im spadnie „manna z nieba”
Nie licząc na kokosy
chwyatają życie na usługi
– bez patosu próbują
pomóc tym
którym szczęście
nie przyszło z pomocą

Ludzie twórczy
stają się
jasną pochodnią
drogowskazem

Ludzi twórczych
czas
sprawiedliwie
nagradza

25.VII. 2004 r.

(godz. 02.00 po wywiadzie Jana Machulskiego
w „Spotkaniach Nocą” prowadzonych przez p.
Wioletę Lewandowską)

Maria Przybylak

członek Związku
Literatów Pol-
skich, autorka ksią-
żek „Polimer gra-
nulowany” (1980),
„I jeszcze ciągle je-
stem do nazwania”
(1984), „Radość z rozdawania” (1996),
„Takie szczęście” (2001), „Cerowane
lata” (2003)



Ona znów do nas idzie

Kiedy byłem jeszcze taki mały, jak duży palec jego prawej ręki, największy ze wszystkich dziesięciu palców Tatki, on już wtedy woził brzuch przed sobą na taczkach.

Szczycił się tym przed każdym, kto go przychodził oglądać, bo to był jego życiowy wynalazek. Szkoda, że jeszcze nie dostał za to Nagrody Nobla, choć sąsiad Zbyr odstawił na maszynie do pisania marki Erica długie pismo na cztery strony w tej sprawie i wysłał je zagranicę w kilku kopiach, które i dziś, wiele lat później, czytane jest przez nas na głos przed całą naszą bliższą i dalszą rodziną, która przyjeżdża do nas na różne pogrzeby. Wtedy wszystkim się zbiera na płacz i wszyscy oni gratulują mu tego sukcesu. Każą sobie czytać to pismo trzy razy, czasami też częściej i każdy płacze z radości, że Tatce się udało wynaleźć ten wynalazek i wszyscy też twierdzą, że on w końcu dostanie tę Nagrodę, bo niejedną ją dostał za mniejsze odkrycie.

– O, zdaje się, że Ona znów do nas dziś idzie – mówi Tatko głośno, żeby wszyscy słyszeli, ogarnęli się i byli gotowi naparzyć Jej kubek herbaty.

Od czasu do czasu Tatko zamyśla się.

Jednego dnia znów się zamyślił. Wtedy Mamuńka powiedziała, że Tatko znów myśli.

Siedział w jednym miejscu, na stołku przy oknie w kuchni, oparł łokcie na stole, a głowę na dłoniach tak wielkich jak łopaty do odśnieżania i myślał. Kiedy to robił, widziałem jak jego czoło marszczy się i jak on do połowy przymyka powieki i jak przygląda się czemuś, co było w nim samym.

Wtedy można mu było na próbę machnąć ręką przed nosem, a on tego i tak nie widział, wpatrzony był w swoje myśli.

Co kilkanaście minut przestawał jednak myśleć, robił sobie przerwy śródmyślowe. W takich chwilach wyglądał przez okno na plac osiedlowy i kiedy napatrzył się, znów zaczynał myśleć.

Cały dzień nic nie mówił, tylko myślał. Nawet zabronił odzywać się do niego, żeby mu nie przeszkadzać w myśleniu.

Wszyscy podejrzewaliśmy, że Tatko wymyśla nowy wynalazek. Kiedy zebrało go na wymyślanie wynalazku, potrafił siedzieć półtora tygodnia i myśleć, a my nie mielibyśmy prawa Tatkowi przeszkadzać, bo jeśli mu ktoś przeszkodził, to Tatko tracił wążek i wszystko musiał zaczynać od początku.

W końcu pod wieczór kazał nam wszystkim przyjść do kuchni i zapytał, czy wiemy, skąd w ostatnich czasach wzięło się tyle psów na osiedlu. Kilkadziesiąt z nich co rano mieszkańcy wyprowadzali na spacer i widać było, że bardzo się śpieszą, żeby prędko wrócić do domu. Nerwowo popatrywali na psie ogony i kalkulowali, za ile minut i gdzie te psy przykucną, a nawet poszarpywali nimi, żeby tu albo i tam jak najprędzej się pozałatwiały, po czym można będzie wrócić do domu, żeby zdążyć do pracy albo do szkoły, bądź w ogóle gdziekolwiek, albo nigdzie nie iść. Położyć się przed telewizorem i kalkulować, jak by tu znaleźć jakąś pracę.

Psy robiły kupy, gdzie chciały. Nawet w osiedlowej piaskownicy dla dzieci. Nikomu to nie przeszkadzało, a dzieci o tym nie wiedziały.

Większość psów spacerowała po osiedlu całą noc, a te, których właściciele chcieli dłużej pospać i mieć święty spokój, wypuszczane były do tamtych psów na spacer samodzielnie, bez smyczy i kagańców, tak że cały dzień setki psów włóczyły się po osiedlowych piaskownicach, klombach, wydeptanych trawnikach i alejkach.

– No skąd ich raptem, ni z tego, ni z owego, tyle wzięło się na naszym osiedlu – zapytał Tatko i nie czekając na odpowiedź sam sobie oraz nam wszystkim odpowiedział na swoje pytanie, że mieszkańcy przestali się kochać. Nawet całe rodziny już siebie nie lubią i nie kochają się jak kiedyś, w dawnych czasach, których ja nie pamiętam, bo teraz nawet dzieci rodziców, rodzice dzieci, rodzice siebie nawzajem też, a i same dzieci pomiędzy sobą we własnej rodzinie potrafią się tłuc po głowach nawet kuchennymi garnkami. Do tego dochodzi, tak się nienawidzą wzajemnie.

Dlatego wszyscy oni, i dzieci, i dorośli, wołają mieć psy, bo psów też można nie kochać, ale można z nimi wychodzić na spacer, żeby się przewietrzyć. Co nie jest już aż tak dotkliwe, jak spacer z rozwydrzonym smarkaczem, rozhisteryzowaną żoną albo ze zniechęconym szwagrem, lub z rozpuszczonym i źle wychowanym wnukiem.

Miało to tę niezaprzeczną zaletę, że psa można kopnąć, kiedy się na to ma ochotę, a człowieka, choćby i najbliższego krewnego już nie w każdej chwili, kiedy by się chciało i choćby się miało ochotę czasami z nerwów zniechęca przywalić mu zdrowo.

Tatko uważa, że ludzie powinni kogoś kochać. Jak się nikogo nie kocha, to jest tak, jakby się nie było, bo po co być, jeśli się nikogo nie kocha. Wszyscy powinni kogoś kochać. Muszą i już, tak zostali stworzeni. Ale wdała się w nich jakaś choroba i przestali się kochać, więc przetrucili się na psy.

– Psy łatwiej kochać niż ludzi – mówił Tatko. Rozgadał się. W dodatku psa można kopnąć w nerwach albo wyrzucić go z mieszkania, niech sobie chodzi i tyle. Z człowiekiem trudniej. Ludzie ze sobą mają więcej kłopotów niż z psami. Dlatego wołają psy.

– Chyba musimy sobie kupić psa – powiedział Tatko. Co znaczyło, że miał zły dzień i postanowił nas wszystkich za to ukarać.

Możliwe, że chodziło mu tylko o to, żeby do kogoś coś powiedzieć i aby ktoś coś powiedział do niego. Ale nikt nie odzywał się, bo każdy miał jakieś swoje zajęcie albo wszyscy tylko chodzili tam i z powrotem, otwierali i zamykali drzwi i tyle.

Tego dnia Tatko miał bardzo zły humor. Siedział w kuchni przy oknie i spoglądał na mur bloku naprzeciwko z oknami jak jakieś wejścia do klatek dla zwierząt, on je tak nazwał, w jednym cyrku, który do nas przyjechał i do którego on kazał się zawieźć bussem razem z taczkami do dzwigania brzucha.

– Nawet nikt do nas nie dzwoni – powiedział przyglądając się, kto chodzi po sporym placu pomiędzy blokami. Od kiedy schudł dzięki własnej metodzie chudnięcia, którą też samemu udało mu się wynaleźć, mógł już chodzić i z pomocą Mamuńki przepychać się przez drzwi z pokoju do kuchni, a nawet węższe drzwi do łazienki, i kiedy wynalazł też w końcu te taczki, na których mógł dość swobodnie wozić swój brzuch po niemal całym mieszkaniu, a nawet z przedpokoju do windy, kazał przenieść telefon do kuchni, żeby tam stał na stole, jak on będzie siedział przy nim i wyglądał, kto chodzi po placu albo kto co robi w bloku naprzeciwko, jeśli otworzy okna i dzięki temu widać, co tam robi.

– Całymi dniami nikt do nas ostatnio nie dzwoni – denerwował się Tatko i przysunął sobie telefon bliżej, żeby go mieć w zasięgu ręki, gdyby raptem komuś zachciało się do nas zadzwonić, i żeby on mógł dobrze słyszeć, jak telefon dzwoni i natychmiast, bez chwili zwłoki podnieść słuchawkę i zapytać, o co chodzi. Ale nikt do nas nie dzwonił.

– To jeszcze jedno świadectwo zepsucia obyczajów – powiedział. – Ludzie przestali się kochać i dlatego nawet do siebie nie dzwonią.

– Bo oszczędzają – powiedziała Mamuńka, która akurat w tej chwili również przechodziła przez kuchnię i też denerwowała się, że nikt do nas nie dzwoni, ale nikomu o tym nie mówiła, tylko mnie.

Mamuńcia do mnie miała zaufanie i wiedziała, że nikomu nie powtórzę, co ona powiedziała. Zaś nawet jak bym coś komuś powiedział, co ona o kimś powiedziała, to nikt by w to nie wierzył, bo jestem Półgłówką. Mam krótkie ręce, krótkie nogi i dwa razy większą głowę od głowy Tatki. Tak, ale Tatko myśli za to dwa razy więcej i dwa razy prędej ode mnie. Co najmniej dwa razy prędej, bo czasami myśli tak prędko, że nikt za nim nie jest w stanie nadążyć.

Dlatego oni nawet wolą ze mną nie wychodzić za często na podwórko. Wstydzą się tego, że moja głowa jest dwa razy większa od głowy Tatki i myśli co najmniej dwa razy wolniej niż dwa razy mniejsza od mojej głowa Tatki.

Mamuńcia mi wszystko mówiła, co jej ślina na język przyniosła. Nawet na Tatkę mówiła mi szpetne życzenia, żeby zdechł, a żeby go pokręciło, a niech by go ten bandzioch kiedyś w końcu uniósł w powietrze jak balon i niech by on sobie poleciał gdzieś ponad lasami, a może wpadł w końcu do morza, jak się na niego zezłościła z jakiegoś powodu. Na ogół bardzo go jednak lubiła, nie można powiedzieć, że było inaczej. Ona nawet musiała go kochać.

– Ludzie nie mają pieniędzy na dzwonienie i dlatego do nas nie dzwonią. Nawet i my do nikogo nie dzwoniemy, żeby nie wydawać pieniędzy – powiedziała.

– Nieprawda – odpowiedział Tatko. – Ludzie przestali się kochać i dlatego już nic dobrego nie mają sobie do powiedzenia. Nawet dzień dobry, co u was słychać i czy wszyscy są zdrowi.

Na co Mamuńka odpowiedziała, że on nie ma racji, bo my też do nikogo nie dzwoniemy. Nie mamy pieniędzy, żeby płacić słone rachunki za telefon. My też nikogo nie pytamy, co słychać u niego i czy wszyscy zdrowi.

– Może być – odpowiedział Tatko i zajął się oglądaniem psa na placu, gdzie była piaskownica, do której ten pies wszedł, żeby pogrzebać w piasku, zrobić kupę do dołka, zasypać go dość niestarannie, a potem obsikać dechę, na której dzieci przesiadują w ciepłe dni lata albo usypują na niej babki z piasku.

Tatko wymyślił te taczki do wożenia swojego brzucha zanim się urodziłem. Kiedy po raz pierwszy udało mi się otworzyć oczy, on już woził po kuchni i po wszystkich naszych salonach brzuch na tym jednokółkowym wynalazku z podpórką, dla wymyślenia którego poświęcił kilka lat swojego pracowitego życia, trzeba mu to przyznać, bogatego też w różne inne domowe wynalazki, choć długo trwało, zanim moje ciężkie i leniwe powieki ruszyły się z miejsca i zanim moje oczy to mogły zobaczyć.

One długo nie mogły się otworzyć, bo moje dość ciężkie od samego początku powieki przykleiły się do siebie, tak że wszyscy myśleli, że urodziłem się ślepy.

Ale ja od początku nie byłem ślepy, lecz tylko moje powieki nie

chciały się od siebie odkleić z powodu omyłkowego zastosowania butaprenu. Mamuńcia się pomyliła.

Jednego dnia dostała od doktora receptę na maść na moje powieki, żeby się rozkleiły. Więc poszła do apteki i tę maść kupiła, a po drodze w geesie kupiła też butapren do sklejenia packi na muchy, która na pół jej się przedarła od częstego packania po ścianach i po różnych meblach, na których muchy miały zwyczaj siadać.

Mamuńcia zawsze dbała o czystość, porządek i z należytą desperacją walczyła z muchami, ale jak przyszło do posmarowania moich powiek tą maścią na oczy, żeby one się wreszcie otwały, Mamuńcia pomyliła tubki z maściami i posmarowała moje powieki butaprenem. Szczęśliwie zaraz się pokapowała, że coś jest nie w porządku, bo kiedy wkrótce potem tą maścią na oczy spróbowała skleić packę na muchy, to ona się nie skleiała.

Było dużo rwetesu. Szczęśliwie butapren nie wypalił mi oczu, bo Mamuńcia mi na nie robiła okłady z rozpuszczalnika czy też jakiegoś innego lekarstwa.

Kiedy już mogłem zobaczyć, co się dzieje, to najpierw ujrzałem jak Tatko wozí brzuch na taczkach po kuchni. Jeśli ktoś czegoś takiego nie widział, to nie powinien się upierać przy nieroztropnym gadaniu, że on już wszystko widział i nic nie jest w stanie zaskoczyć go i zadziwić.

– Tak mi się wydaje, że Ona znów do nas dziś idzie – powtórzył Tatko, który w przerwach pomiędzy myśleniem wyglądał przez okno w kuchni, żeby wiedzieć, co dzieje się na placu pomiędzy blokami.

– Trzeba szykować herbatę – powiedziała Mamuńcia. Nalała wody do czajnika, zapaliła pod nim gaz i poszła do przedpokoju, żeby stanąć przy drzwiach, odchylić judasza i obserwować wejście do windy, którą Ona powinna do nas wjechać za chwilę.

Ustawiliśmy się wszyscy za nią i czekaliśmy. Ośmiu moich braci i ja, bo Tatko siedział w kuchni przy stole i tylko kazał sobie opowiadać, czy Ona już wyszła z windy i czy już do nas idzie.

W takich chwilach nie zdarzyło się jeszcze, żeby za mną nie stał mój najstarszy brat Drabina, dwa i pół metra wzrostu. Mamuńcia zawsze pozwalała mi stanąć za sobą. Niech by ktoś mnie spróbował wypchnąć, zaraz miałby z nią do czynienia. Ona mnie bardzo kocha, a ja ją też. Ale za mną zawsze ustawał się mój najstarszy brat Drabina i przyciskał do nóg Mamuńci moją głowę kolanem. A za nim pchało się jeszcze siedmiu naszych braci. Mamuńci musiało być niewygodnie.

– No nie pchajcie się tak, dzieciaki – powiedziała – bo drzwi przez was wysadzę i wszyscy znajdziemy się na klatce schodowej.

– No i co tam nowego? – zapytał Tatko, który siedział przy stole w kuchni i starannie obserwował drzwi do przedpokoju oraz pilnował telefonu, żeby nie kazał nikomu czekać, jak do nas zadzwoni, zapyta co słychać i czy wszyscy zdrowi.

Staliśmy tak jeszcze z półtorej godziny, aż Mamuńcia powiedziała, że ją bolą nogi.

– Widocznie dzisiaj Ona wybrała się do kogoś innego – powiedział Tatko, kiedy rozeszliśmy się spod drzwi i każdy czymś się zajął jak zwykle. Ale wtedy też mieliśmy uszy nastawione na kuchnię, żeby nie prze-gapić tej chwili, kiedy ktoś do nas zadzwoni albo jak Tatko powie, że ktoś do nas idzie.



Wiara w dobroć i mądrość człowieka

Debiut książkowy Anny Marii Szewczuk nastąpił w 1996 roku. Weszła do regionalnego obiegu literatury tomikiem wierszy zatytułowanym *Przenikalność* (AND, Zielona Góra). Był to wówczas już spóźniony debiut, gdyż zazwyczaj roczniki sześćdziesiąte rozpoczynały swoje zmagania z piórem w połowie lat osiemdziesiątych. Mimo jednak późnego startu A.M. Szewczuk w dość krótkim czasie nadrobiła niejako dystans dzielący ją od literackich reprezentantów jej pokolenia, bowiem trzy lata po debiucie ukazał się jej następny zbiór liryków - *Pozostać w zachwycie* (ORGANON, Zielona Góra 1999). Był on już przepustką do lubuskiego panteonu literackiego, gdyż kariery poetyckie przeważnie trwają krótko, kończą się często wraz z chwilą debiutu.

Ukazanie się drugiego tomu wierszy sprawiło, że jego autorka znalazła się w gronie najważniejszych przedstawicieli swojej generacji poetyckiej, obok D. Kozanowskiej, J. Katarzyńskiego, Z. Kowalczyka czy M. Zgaińskiego.

Niniejszy trzeci tomik wierszy pozwala A.M. Szewczuk jako zdeklarowanej autorce tzw. poezji kobiecej wejść do znamienitej, choć wąskiej grupy przedstawicielek lubuskiej liryki, przez lata tworzonej przez Papuszę, I. Dowgielewicz, A. Tokarską, J. Pytel, B. Trawińską, D. Kozanowską ...

Dwie pierwsze książki poetyckie Anny Szewczuk ujawniły jej długo skrywany talent literacki i umiejętność zamykania w słowach i strofach osobistych przeżyć, misternego budowania poetyckiego świata i manifestowania prywatnej filozofii życia, wiary w mądrość i dobroć człowieka. W debiutanckim tomie wierszy *Przenikalność* autorka dała poznać się od strony uważnego badacza świata i obserwatora własnych przeżyć, pozostających w immanentnym stosunku do naczelných wartości, nadających sens ludzkiej egzystencji.

*wierzyć w człowieka
wierzyć w miłość
wierzyć miłości*

Poprzez naiwny świat dziecięcych doznań, marzeń i fascynacji, poetka poszukuje i odkrywa esencję życia, miłości i wiary. Sfery uczuciowości i duchowości są wszechobecne w poezji A.M. Szewczuk, przenikają się wzajemnie, tworząc łańcuch wrażeń i przeżyć. Doświadczenia te pozwalają konstruować na własny użytek jej intymny, zmysłowy świat, nadając mu nowe, metafizyczne formy i znaczenia.

*transcendencja
jest wszystkim czym być może
ale jest bezosobowa
czy można wydać miłość
nie znajdując punktu oparcia*

Drugi zbiór wierszy zdecydowanie potwierdził poetyckie aspiracje i pragnienia poetki do jeszcze głębszego poznania harmonii natur świata i przyswojenia nieustannie przenikających się

w nim bytów realnych z ezoterycznymi. Wiersze z tomu *Pozostać w zachwycie* na znacznie większą skalę emanują zmysłowością i intymnymi doświadczeniami. Stanowią poniekąd prywatną ontologiczną i aksjologiczną wykładnię poetyckiego światopoglądu autorki. W utworach tych poetka patrzy na życie w różnoraki sposób - raz z pozycji filozofa, drugim razem empiryka, jeszcze innym razem patrzy po prostu oczami kobiety poszukującej spełnienia w miłości. Wyraża się tutaj nadrealna, niemal mistyczna wiara w miłość do drugiego człowieka i chęć całkowitego, zmysłowego zespolenia się z obiektem uczuć.

*lubię
kiedy zdobywam się na pochodnię
bliska śmierci i drżenia
pełna milczenia zamkniętego
w moc słów którymi patrzę
mam taką nadzieję
że oczami mówię
że rozumiesz to
gdy umierać pragnę z nadmiaru miłości*

Najnowszy tomik A.M. Szewczuk kontynuuje zapoczątkowany w fazie debiutu tematyczny ciąg lirycznych realizacji, które ulegają dalszej wiwisekcji i penetracji przeżywanych reakcji, doznań, emocji. Mamy więc do czynienia z liryką niezwykle subtelną i nastrojową oraz w specyficzny sposób uduchowioną. Miłość fizyczna i duchowa kierowana wcześniej do człowieka, teraz przechodzi w stadium miłości mistycznej, kierowanej przemienne do personifikowanej postaci Boga i podniesionego do rangi bóstwa człowieka.

*bądź mi zawsze Iskrą Bożą
bądź mi blaskiem
dla ciebie będę rozkwitać i płonąć*

Pojawia się tu także cały sztafaż biblijnych i mitologicznych symboli i postaci na czele z Jezusem, Marią Magdaleną, Melpomeną, Afrodytą czy Amorem. Kilka wierszy utrzymanych jest w konwencji i stylizacji poetyckiej Emily Dickinson, kiedy autorka *Wierzę* świadomie uwypukla opisywane przedmioty lub wrażenia.

*Układam w mozaikę
nasze codzienne horoskopy
I wije z nich Wstążkę
która oplata nasze Ciała i Dusze
Splątani w Jej zakrętach
witamy Wciąż Nowy Dzień
a Słońce jest Naszym Świadkiem
i każe Nam wierzyć od Nowa*

Autorka zbioru *Wierzę* w widoczny sposób rozbudowała konceptualną wizję własnego świata, znacznie wzbogaciła zakres poetyckiego obrazowania i rozszerzyła wachlarz tematycznych inspiracji. Utwory zawarte w niniejszym tomiku świadczą, że poezja A.M. Szewczuk jest w pełni dojrzała, klarowna i autentyczna, a przez to jeszcze bardziej osobista, mistyczna a przede wszystkim kobieca.

Dr Robert Rudiak



ANNA MARIA SZEWCZUK

Absolwentka filologii polskiej i filologii wschodnio-słowiańskiej. Debiutowała w 1996 r. w Radiowej Książce Poetyckiej na antenie Radia Zachód. Debiutem książkowym był tomik zatytułowany *Przenikalność* (1996). Drugi tomik poezji pt. *Pozostać w zachwycie* ukazał się w 1999 r., a trzeci pt. *Wierzę* w 2003. Ponadto wiersze poetki publikowane były w książkach: *Rozpoznani spośród* (1997) oraz w tomiku Uniwersytetu Poezji w Zielonej Górze pt. *Dojrzewanie wierszy* (1998).

Wiersze jej były także publikowane na łamach pism: "Lubuskie Nadodrzie", "Komunikaty Nadodrzańskie", "Zielonogórski Informator Kulturalny", "Gazeta Lubuska", "Gazeta Wyborcza", "Myśl Polska". Do 10 utworów poetyckich Anny M. Szewczuk skomponowano utwory muzyczne wykonywane przez zespół poezji śpiewanej WY-SPA. Od roku 2000 Anna M. Szewczuk należy do Związku Literatów Polskich.



Mój smutek

mój smutek jest radością,
jest powagą, jest spokojem
ukoić nim mogę twoją duszę
przyłożyć do dłoni
powagą moich ust
nie trzeba go zmieniać
na nic innego
on za chwilę będzie górą,
będzie spokojem
i razem nas pograży
w milczeniu jak w słodkim śnie

Delikatność

motyla trzepotem
jest twój dotyk
i w świetle zorzy
jak powiew wiatru
przesuwasz palcem po udzie
pieszczota twoja
niezastąpiona jest
i słów magicznych
nie trzeba będzie
by zachwyty wyrazić dla niej

Nie chciałeś mnie

nie chciałeś mnie
odjechałeś milcząco
a ja patrzę w gwiazdy
i czytam z nich horoskop
zgubiłeś miły klucz
do mego gwiazdozbioru
więc uśmiecham się do ciebie
przez szklaną szybę
tu nie słyszeć mojego śmiechu
lecz nie ty
ale Gwiazdy go posiadają

* * *

Twoje ciepło
zapala we mnie latarnię
jej płomień
chwilami gaśnie
ale wtedy zjawiasz się Ty
i na Nowo rozniecasz
ogień
bądź mi zawsze Iskrą Bożą,
bądź mi Blaskiem
dla Ciebie będę rozkwitać
i płonąć
dla Ciebie słowa Układać

Twoje oczy we mnie

Twoje oczy we mnie
Twoje dłonie przy mnie
gładzą moje ręce
gwieździste niebo
roztacza ramiona nad nami
jak skrzydła
Witamy nowe Tysiąclecie
trzymając się za ręce
Przyjazne spojrzenia
Przechodniów
zdają się Nas Pozdrawiać
obdarowując Serca nasze
nową dawką Energii
Upojna noc w Pradze
tak to Tutaj
Ty jesteś ze Mną, a Ja
z Tobą
liczymy punkty na Niebie
światałka, gwiazd błyszczących
prowadzą nas pod sam Dom



Nigdy

Nigdy nie będzie lepiej
bo lepiej być nie może
Nigdy nie będzie gorzej
bo gorzej być nie może
Nigdy nie będzie inaczej
bo inaczej być
nie może

* * *

Kładź mi zawsze
swoje Dłonie
na Moim Kolanie
pozeraj palcami
moje długie nogi
pozeraj je
każdym koniuszkiem
one
moje nogi
bardzo Ciebie pragną
Ugaś Ich Pragnienie

Oboje w sobie

oboje w sobie
Jesteśmy
czy naprawdę
tego nie widzisz
czy nie czujesz tego co ja
gwiazdy nigdy nie kłamią,
Jesteśmy
oboje w Sobie
tak samo
tak bardzo

W tęsknocie za twoim głosem

Z tęsknoty za twoim głosem
popijam zimną kawę
a cukier w niej rozpuszczony
nie daje mi słodyczy
Z tęsknoty za twoim głosem
słucham ulubionej muzyki
lecz głos który słyszę
nie koi moich zmysłów
Z tęsknoty za twoim głosem
serce bije mi wolniej
a wino czerwone w kielichu
nie zwiększa mojego pulsu
Z tęsknoty za twoim głosem
mój głos zamiera powoli
i wiem że bez słów twoich
nie mogę spokojnie żyć

* * *

że to był dotyk anioła
który musnął nasze dusze
jednocześnie
i czekam na słowa od ciebie
że wstąpiła w nas wiara
od dzisiaj
na zawsze

*Wiersze pochodzą z tomiku
„Wierzę”, wyd. ORGANON
Zielona Góra 2003*

Nowe wiersze

siostra

nie jest cieniem
a stoi przy nas
z prawej anioł
z tyłu ona

choćbyś zawędrował
poza horyzont
pójdzie za tobą

dopóki oddychasz
wypełnia się księga
plus i minus

wszystko czym jesteś tutaj
po tamtej stronie
będzie niemym filmem

2004

przed świtem

październik wczesny poranek
prawie ciemno tylko
w ciszy świątyni kontury drzew

świt nie spieszy się
leniwie wyłania przedmioty
pojawił się wiatr
i pastwi się nad liśćmi
jakby przynagłał
już czas
ziemia czeka

nim zima i mróz
oddzieli ją od nieba
przyłgnie śnieg i
opadłe liście

zaszeleszcza
kontemplacja

2004

jesień'04

w drzewach jeszcze zielono
a tu jesień
nie pyta o zdanie
bo już czas
rozkłada sztalugi i
przymierza się
dzisiaj koniec lata

z północy wieje wiatr
łupiną orzecha wypłynął
księżyc

zapomniał wiosła
mrok szybko zapada
jakoś cicho bez ptaków
i czai się melancholia

przez otwarte okno
zaprosiłam świerszcza
ale nie przyszedł

lada dzień
brawura spadających liści
zauroczy nas



rys. M. Cwiertnia

Swinica

pokochać cię to mało
zdobywać to dopiero
zachęcasz niewinnie
przeszkody
stopniujesz powoli

nagle
łańcuch nad granią
za późno na odwrót
koncentracja i naprzód
mięśnie napięcie do granic
skóra oddycha intensywnie
tylko czubki butów
na grani rysują sinusoidę
ręce przesuwają żelazny
rózaniec
a stopy szukają uskoków

dopiero
po emocjach na ścianie
grunt pod nogami
chwila oddechu i w górę
parę zygzaków szczelinami
wygwizdanymi przez wiatr
i po latach nareszcie
Ona

nadzieja

na pogodę serc
sięję słowa
nie na wiatr

nim nadejdzie szaruga
nim tęcza przebarwi
liście

póki zima
póki odlot ptaków
jeszcze coś gra

z garścią orzechów
powracamy
do świątyni ścieżek
by nakarmić wiewiórki
i nadzieję

póki trwa

warto

póki jeden wiersz
zatrzyma wędrowca
warto się trudzić
słowo
może stać się
dłonią nad przepaścią
światłem w zwątpieniu
żagle na wietrze

poeta
czasem widzi
więcej

pożegnanie

owej soboty rano
byłam myślami przy
Kanonicznej 7

na moje listy milczałeś
tylko raz parę słów
a jednak
przyszedłeś się pożegnać
odchodząc w drugą przestrzeń

kiedy wyszłam z wanny
podano komunikat
- odszedł od nas poeta

jak nie wierzyć w wędrowkę
dusz
kiedy był
mój brat gwiazdny

14.08.04

Pies

Słońce wznosiło się coraz wyżej i upał – niezwyčajny jak na wczesne godziny połowy sierpnia – zaczynał doskwierać blisko setce ludzi. Stali w ciągle powiększającej się, ciasno stłoczonej gromadzie już od kilku godzin. Wydawało się, że próbują wtopić się w coraz bardziej nagrzaną słońcem drewnianą ścianą największej we wsi, wypełnionej sianem i zbożem, stodoły. Coraz bardziej odrętwieni, trwali zmęczeni rozgrywającą się w nich walką resztek nadziei z tępą zgodą na okrutny los. Niemal wszyscy – dzieci, dorośli i kilkoro starszusków – ubrani byli ciepło, bo zagarnięto ich z drogi, gdy wczesnym, jeszcze chłodnym świtem, jedni pieszo, inni furmankami z garstką dobytku pośpiesznie opuścili swoje zagrody, chcąc zdążyć wydostać się z Puszczy...

Przestali już reagować na dobiegające od strony wsi wrzaskliwe komendy, wystrzały, krzyki, szczekanie psów i porykiwania krów.

Nerwowe falowanie tłumu wprowadzały zbliżające się od gościńca okrzyki komend i wpędzane na podwórze kolejne grupki nieszczęśników. Niektórych witał wybuchły nagle gdzieś w środku stłoczonej masy i natychmiast urwany szloch. To ktoś rozpoznał kogoś ze swoich bliskich, komu też nie udało się na czas wyjechać. Ci nowi, wpędzeni przez kilku żołnierzy i zaczerwienionego grubego feldfebla z hełmem odsuniętym na tył głowy, wpadli na tłum pod stodołą, który tylko lekko, niczym bezkształtna plastyczna masa, ugiął się na chwilę, by nie poddając się naporowi, zdecydowanie wypchnąć przybyłych na czoło. Bezradni stanęli w pierwszym szeregu, mając przed sobą tylko oślepiające słońce. Ten i ów przyłożył rękę do czoła, by wyraźnie już zobaczyć sylwetki stojących naprzeciwko w cieniu pod ścianą i na ganku budynku mieszkalnego kilku żołnierzy i oficera.

Żołnierze niedbale trzymali karabiny z lufami pochylonymi ku ziemi, jednak przy nieco wyraźniejszym zafalowaniu tłumu lub odgłosie z jego strony, otwory luf nerwowo wyszukiwały winowajców. Zapadało milczenie, przerażony tłum nieruchomiał...

Po wysłuchaniu krótkiego raportu, oficer wydał niecierpliwe polecenie. Gruby feldfelbel zasalutował, odwrócił się sprężysto i wybiegł wraz ze swoim niewielkim oddziałem z powrotem za dom na gościńiec. Oficer – wysoki i szczupły, nie więcej niż trzydziestoletni mężczyzna, zdjął swą połową czapkę i białą, wyjętą z kieszeni chustką przetarł twarz i czoło. Niecierpliwie spojrzął na zegarek; widocznie już go zaczynało denerwować przedłużanie się akcji... i upał. Pochylił się i pogłaskał po łbie siedzącego i ziąjącego z wywieszonym jęzorem wilczura. Ponownie podjął niecierpliwy marsz od jednego do drugiego skrajnego cienia...

Wczoraj przekazano sołtysom rozkaz niemieckiego dowództwa, by dzisiaj o godzinie piątej rano wszyscy mieszkańcy wsi i osad tej części Puszczy Nalibockiej przybyli na punkt zborny do Półdoroża, skąd pod eskortą będą wyprowadzeni poza Puszczy. Spóźnienie będzie równało się wyrokowi śmierci. Akcja miała być sposobem na odcięcie zgromadzonych w tych lasach oddziałów partyzanckich od źródeł zaopatrzenia – miejscowej ludności. Nie wszyscy zdążyli na czas. Ci, którzy spóźnili się chociażby kilka minut, byli kierowani w okolice zabudowań łaźni, mimo że na gościńcu jeszcze formował się konwój z ostatnią grupą przybyłych o wyznaczonej porze. W ciągu kilku godzin ściągali mieszkańcy najdalszych osad – coraz bardziej gęstniał tłum przed dwoma stodołami we wsi i przy łaźni. Na wiejskim placu stało coraz więcej już opuszczonych wozów i podwód wypełnionych pierzynami, sprzętem gospodarskim, kosztami z kurami i workami zboża. Coraz smętniej porykiwały przywiązane do wozów krowy – nie dojrane od rana. Ich gospodarze i właściciele stali teraz w coraz większym upale stłoczeni pod ścianą stodoł.

Falujący tłum znieruchomiał, gdy zza szopy, z sąsiedniego podwórza dobiegło krótkie zajądło szczekanie, przechodzące po wystrzał

w cichnący skowyt skargi, a następnie urwany gwałtownie drugim wystrzałem. W tej samej chwili od prawego skrzydła bezkształtnej ludzkiej masy oderwał się i pomknął cień. Już dopadał węgła stodoły, gdy wraz z okrzykiem "Halt!" od strony ganku huknęły dwa, zlewające się w jeden, strzały. Pies, niczym milcząca ciemna błyskawica, dopadł już padającego uciekiniera i wściekle warcząc zaczął szarpać jeszcze drgające ciało człowieka, przed sekundą pełnego desperackiej nadziei.

Oficer krótką komendą przywołał psa. Ten niechętnie, ale posłusznie, zostawił już znieruchomiałe ciało, wrócił w cień i położył się ciężko dysząc. W środku tłumu ktoś zaszlochał, natychmiast jednak ucichł...

Minuty wlokły się w nieskończoność. Pies podniósł łeb, następnie z wyraźnym niepokojem poderwał się, stanął sztywno na czterech łapach i ostro nastawiwszy uszy zaczął uważnie wpatrywać się w tłum. W ciszy wypełnionej owadziim brzęczeniem i przerywanej skrzypieniem piasku pod butami oficera, pojawił się nowy dźwięk... Gdzieś w głębi stłoczonej ludzkiej masy coś się działo. Żołnierze znieruchomieli, a otwory karabinowych luf uniosły się ku górze i szukając winowajcy, poczęły metodycznie przesuwac się z prawej ku lewej stronie i z powrotem... Z tłumu już wyraźnie dochodziło kwilenie dziecka i stłumiony płaczliwy szept matki... Wilczur postąpił kilka kroków do przodu i wpatrując się z zaciekawieniem w ludzkie kłębowisko, zastygł z uniesioną przednią łapą. Tłum metodycznie, z bezlitosną powolnością, byle tylko być jak najdalej od potwornego zagrożenia, wypychał do przodu kobiety, próbującą rozpaczliwym szeptem i lulaniem na rękę uciszyć dziecko... W końcu już stała przed pierwszym szeregiem i drżącymi rękoma bezradnie opatulala zsuwającą się chustą swój skarb. Kilkumiesięczne dziecko skarżyło się żałośnie. Kobieta z przerażeniem w oczach próbowała zacisnąć jego rączki na jedynej w tym miejscu zabawce – swoim warkoczu, który grubą złotą kosą spływał po jej lewym ramieniu... Chusta opadła na ziemię. Matka obejrzała się do tyłu, jakby szukając wśród innych ratunku i schronienia... Próbowała wcisnąć się ponownie między innych. Nadaremnie... A dziecko płakało coraz głośniejsze.

Jakby usuwając w niepamięć miejsce i okoliczności, jakby zapominając o zwykłym wobec obcych skrępowaniu i o przepelniającym ją przerażeniu, niemalże z desperacją, kobieta powolnym ruchem rozpięła koszulę i przytknęła główkę dziecka do wydobytej na wierzch wypełnionej pokarmem piersi.

Żołnierze zarechotali rubasznie, któryś coś powiedział, wywołując następną porcję zdrowego męskiego śmiechu...

Pies powoli zbliżył się do niej, uniosł łeb do góry i przechylając głowę na przemian – to na prawą, to na lewą stronę, zaczął przyglądać się dziecku. Kobieta zahipnotyzowana strachem wpatrywała się w wilczura. Pies cicho zaskomlał i zamerdał ogonem, obiegnął ją i ponownie zatrzymał się z przodu. Znowu zaskomlał, uniosł się na tylnych łapach i opierając przednie o jej przedramię, którym opasywała dziecko, przyglądał się małej istotce. Zachwiała się nieco pod dodatkowym ciężarem i bezskutecznie jeszcze raz spróbowała się cofnąć i schronić w tłumie. Pies opadł na cztery łapy, a od strony ganku – znowu rechot...

Oficer spojrzął zde gustowany w jej kierunku, następnie odwrócił się i przeszedł kilka kroków. Zatrzymał się, znowu spojrzął na kobietę. Znowu kilka nerwowych kroków...

– Komm! – odezwał się ostro i skinieniem ręki przywołał kobietę do siebie.

– Nie! – Patrzyła na niego z rozpaczą w oczach, pewna, że chce odebrać jej dziecko. – Nie! Proszę... Bitte!.. Ono niewinne...

– Mutter, komm. Komm hier! – Powtórzył już łagodniej.

Tłum znieruchomiał, żołnierze zamilkli. Kobieta jakby w odrętwieniu, stawiając sztywne kroki podchodziła do ganku. Pies, niby stróż, siedział przy jej nodze przez cały czas merdając ogonem i z zaciekawieniem spoglądając ku górze na karmione dziecko.

Zatrzymała się na kilka kroków przed oficerem. Dziecko oderwało się od jej piersi, westchnęło i po chwili ponownie się przyssało. Uniosła głowę i ze strachem pomieszczonym z bezgłośnym błaganiem spojrzała na oficera. Nie wiedziała jeszcze, co znaczy ten grymas, który na krótki moment zmiękczył rysy jego twarzy.

– Mama... Schöne Mutter. – I wskazując najpierw wzrokiem, a potem ręką prawy róg stodoły nakazał – Weg!

Stała jak wmurowana, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– Rauss! Schnell! – powtórzył zniecierpliwiony, wyraźnie pokazując, że ona ma iść ścieżką wiodącą za stodołę.

Pies przestał merdać ogonem, przysiadł przy nogach oficera, gotów w każdej chwili do wykonania każdego polecenia swego pana.

Odwróciła się spłoszona i zdezorientowana coraz bardziej tuląc dziecko. Zrobiła jeden krok, potem drugi i trzeci. Niemalże już słysząc strzał, który z pewnością zaraz się rozlegnie, wiedzioną ponad setką par oczu zbliżała się do zatrzymanej w locie i jakby wciśniętej w ziemię sylwetki, już otoczonej wilgotną ciemną plamą na piasku.

Pies spojrzął na swego pana, zaniepokojony krótko szczeknął i zdezorientowany, znowu merdając ogonem, podążył za nią. Jednak przywołany krótką komendą, niechętnie zawrócił, przysiadł w słońcu i zaskomlał. Znieruchomiała i mocniej przygarnęła dziecko, pewna, że sobą zasłoni je przed kulą. Następny krok i... następny. Na sztywnych nogach minęła róg stodoły – strzału nie było. Wiedziała, że za chwilę już nie będzie jej widać z ganku i sprzed domu. Wyszła za stodołę – nadal cisza. Z niedowierza-

niem odwróciła głowę – jeszcze nikt za nią nie wołał i nie wychodził zza węgła. Przed nią, w odległości niespełna i aż dwustu kroków była jasno oświetlona ściana lasu z pierwszymi złotawymi plamami jesieni. Lasu, który tak dobrze знаła i który już tyle razy ją chronił. Odjęła dziecko od piersi i zaczęła coraz szybciej stawiać kroki. A las był tak okrutnie odległy. Jeszcze raz się obejrzała i zaczęła biec... Las nadal był przeraźliwie nieosiągalny. Ostatnie metry pokonywała jakby w niewyobrażalnym spowolnieniu... Wpadła między pierwsze drzewa... Strzału nie było...

Już była bezpieczna, ale jeszcze biegła dalej i dalej... W końcu rozsadzana pulsowaniem krwi w głowie i dudnieniem w piersi, ciężko dysząc, położyła dziecko na mchu, a sama usiadła opierając się plecami o sterzące nad złotym piaskiem rozwidlone korzenie dębu. Przyszedł jej na myśl zupełnie absurdalny i jakby nierealny obraz obserwowanej kiedyś właśnie tu króliczej rodziny...

Poderwała się, niemalże w locie chwytając już śpiące dziecko, gdy od strony wsi dobiegło ją gwałtowne i zmasowane zajadłe szczekanie psów, wystrzały, a zaraz po tym wybuchy i stłumiony krzyk masowej rozpacz. Nasłuchiwała. Odgłosy nie zbliżały się – skłębily się nad wsią. Zbiegła nad brzeg strumienia, czerpiąc dłońmi zimną wodę, ugasiła pragnienie, a następnie zmoczyła twarz i przetręła wilgotną ręką szyję i skórę pod koszulą. Znow wzięła dziecko i zagłębiła się w las.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że w kilkanaście minut po jej odejściu, wszystkich wpędzono do stodoły, zadrutowano wierzeże, polano drewniane ściany benzyną, a przez okienka wrzucono do środka granaty...

Tryptyk południowy

Dzień pierwszy – Itaka

On nie wiedział
że stał się Panem,
który ją wabił
i Odysem
przez morza
do niej dążącym

Powiedziała mu to
kiedy na nowo się odnaleźli
pod tamtym słońcem gorącym

Dzień drugi Na pożar wyspy

Zgorzały oliwki przedwieczne,
szerniały gaje
Nie doczekają się pinie
potomstwa szyszek
rozcapierzonych
Kozom i osiołkom
zbiec się udało
choć Pan ich opuścił
już dawno temu

Cyprysy ku niebu
gałęzie złożyły
na Amen

Dzień ostatni – Łzy

Tłumaczył cierpliwie
o co pytała
to oliwki, mówił, jeszcze nie
dojrzałe
dzikie figi dobre, chociaż nieco
mdławe
migdały twarde
a spać nie dają
cykady

Że będę w raj
nie wiedziałam, westchnęła
gdy słońce ostatnie
już zapadało
w Morze od łez bardziej słone



* * *

Znamy powody
i usprawiedliwienia
Tłumaczmy i umywamy ręce
Negliż Ziemi nas nie przeraża

Poproszę cię jeszcze o karabin
i zanim spojrzę weń
od tamtej strony
skróć cierpienie
oszałałych bezdomnością ptaków

Curriculum vitae

Mam pięćdziesiąt siedem lat.
Urodziłem się dwudziestego
piątego sierpnia
w tej gorszej części Europy.

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym
trzecim roku rozpocząłem
edukację...

litera
wyraz
zdanie
drugie zdanie
kolejne
i następne
strona
rozdział

...

zdanie już raz przeczytane
wcześniejsze strony bez numeru
(czy to ta właśnie lektura?)
bez prawa przerwania od razu
kilku kart do przodu
któryś tam rozdział
(już czytany czy jeszcze nie?)

pod palcami faktura okładki

Mam pięćdziesiąt siedem lat...
prawie

Ludwik I. Lipnicki

Wiosną 2004 r. przy Stowarzyszeniu Twórczym „Wena” powstała sekcja literacka „Wiązadło” grupująca nauczycieli piszących. Sekcją kieruje Hanna Kaup, a wśród jej członków są znani z łamów „Pegaza Lubuskiego”: Beata Klary, Aldona Robak, Jerzy Gąsiorek, Ireneusz Krzysztof Szmidt i debiutujący w tym numerze Adam Korzeniowski.

ZAŁOŻENIA ORGANIZACYJNE „WIAZADŁA”

1. Spotkania winny odbywać się w miarę cyklicznie, przynajmniej raz w miesiącu.
2. Miejsce - Klub Nauczycielski, kawiarnia, szkoły, z których pochodzą sympatycy.
3. W każdym miesiącu zobowiązujemy się do przyniesienia ze sobą efektów własnej pracy, najlepiej wydrukowanych i powielonych, żeby zainteresowani mogli je otrzymać; liczymy tu na przychyłność dyrekcji lub innych sponsorów w udostępnianiu drukarek i kserokopiarek.
4. Z wyprzedzeniem ustalamy tematykę kolejnego spotkania, by każdy mógł przemyśleć zagadnienie i odpowiednio się przygotować.
5. Wskazane byłoby ustalenie własnej tradycji spotkań, tzn. programu, wg którego odbywałyby się: część poświęcona recenzjom ostatnio przeczytanych książek, prezentacji dorobku poszczególnych członków klubu, dyskusji na wybrany temat, omówieniu ważnych wydarzeń literackich w środowisku, kraju i na świecie, itp.
6. Ambicją organizatorów jest wyjście z twórczością nauczycieli do szkół, macierzystych i innych, które chciałyby gościć ich u siebie na przygotowanych wieczorach z literaturą.
7. Pragnieniem jest przygotowanie i wydanie własnego zbioru prac gorzowskich nauczycieli.

CELE „WIAZADŁA”

1. Integracja środowiska nauczycieli piszących, miłośników sztuki słowa.
2. Tworzenie i rozwijanie tradycji spotkań literackich, a przez to także gorzowskiej elity.
3. Szerzenie idei pięknego słowa.
4. Rozwijanie zainteresowań językiem i literaturą.
5. Odkrywanie talentów.
6. Zachęcanie do twórczych realizacji.
7. Wychodzenie z pisania do szuflady, a więc z ukrycia i zaściankowości.

Członkowie sekcji literackiej „WIAZADŁO” przy Stowarzyszeniu Twórczym „Wena” przygotowali przedstawienie poetyckie „Zamiast minuty ciszy”, które zaprezentowali 24 września w Klubie Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Wiersze członków sekcji dopełniały piosenki Anny Szalapak i Czesława Niemena.

Hanna Kaup Miłoszowi

W Krakowie
W sobotę na Rynku
tłum rozbawionej gawiedzi
jadł z plastikowych talerzy
pierogi z mięsem i serem

tu w sierpniowe południe
umierał poeta
milczały usta najbliższych
nikt z ludu nie wstał od stołu

ty w niemym zadziwieniu
drzwi myślom chcesz otworzyć
by biegly wstyd wykrzyzczeć
i hańbę świętego decorum

ale uspokój stroskane
wspomnij "Campo di Fiori"
w Krakowie przy Starym Rynku
w pogodny wieczór sierpniowy
przy słowach w kir obleczonych

bo lud krakowski jak rzymski
handluje bawi się kocha
nim dowie się
zapomina
by swoje w porę uchwycić

tak toczy się codzienność

wiedział to staruszek prorok
teraz snu mocą okryty
wstępując w komnaty Hadesu
wiedziony mądrości duchem
wciąż nuci tamtą piosenkę

"innego końca /.../ nie będzie"

Beata Klary Umarł zwyczajnie

Gładiatora już nie ma
choć Olimpia
ogniem zapłonęła
chwilę później
ostatni raz się
pożegnał



Powiązani: Beata Klary, Hanna Kaup, Adam Korzeniowski

odznaczony
choć medal jego
przyprószyno
dziewięć dziesiątek zmagają
z areną
białej kartki
odszedł
w ciszy zastygłej na wargach
na Parnas
gdzie
„nie dalszy niż wczoraj
wyda się tamten świat
choć twarze cesarów
inne dziś na monetach...”

Jerzy Gąsiorek **Owego dnia...**

Owego dnia
kiedy samolot świadomie
uderzył w wieżowiec
coś się skończyło
i coś się zaczęło...
I tyle pytań
jak żyć dalej normalnie
po tym co się stało
dlaczego Boże
wciąż na to pozwalasz

A jednak znów
kolejna data
przejdzie do historii
rany zadane
będą leczyć dzieci
przez kilka pokoleń
O głupi człowieku
co na pyłku ziemi
budujesz nienawiść
i mordujesz brata
co masz odwagę
ulepić bałwana
i nazwać go bogiem

Adam Korzeniowski **W wieku XXI**

W wieku XXI
Wchodzę pchając wózek
Pośród huku petard
Myśleć nie potrafię
Słucham reklam
O tym jak osiągnąć szczęście
Jak pozostać zdrowym
Pięknym i bogatym
Przez labirynt regałów
Zagmatwane życie
Popycham swój wózek
Zbliżam się do kasy
Wołam Panie gdzie jesteś

Teraz kiedy płacę
Za Ciebie i za siebie
Kiedy się spowiadam
Raz w roku
Zwykłym Pitem
Kiedy odprowadzam
Podatek naliczany
Od głupoty władzy
Pociesz mnie nowelizacją
Zasad dekalogu
Odpuszczeniem akcyzy
Komputerowym wirusem
Jakaś drobną prawdą
Przyznaj że nie oni
Tylko my jesteśmy
Zwykli terroryści
I nie odpuszczaj niczego
O co Cię proszę



rys. M. Ćwiertnia

Jerzy Gąsiorek **Spektakl**

W teatrze na Dubrowce
jedyny spektakl
długi kilkudobowy
z wszystkimi efektami
błyski wybuchy płacz
trupy prawdziwe
i krew nie na niby
wszyscy grali na serio
nikt się nie pomylił
...
o tym spektaklu
głośno było w mediach
recenzje rozbieżne
zapewne długo nie zejdzie
z afisza pamięci

Beata Klary **Różne światy**

Ważę słowa
jak perły z obrazu
Vermeera
choć za dużo
ich ciągle
i rzadko klejnoty

A tam inni
nie ważą
strzałów kul
choć zabijać potrafią
niewinne istoty

Jakże tobie
mistrzu z Delft
spokojnych
innych czasów zazdroszczę
tego w ciszy trwania

Gdy malując
swe dzieła
odtwarzałeś dobroć
a nam przyszło
pomnażać rozstania

Adam Korzeniowski **Nie zaoszczędzisz**

Nie zaoszczędzisz
Choćbyś coś odkładał
Jak z najpiękniejszego snu
Obudzisz się z pustymi rękami
Ani to dobrze
Ani źle

Ciesz się, jeśli przez chwilę
Otoczy cię miłość
Ujrzysz Imperium w blasku
Kruczą doskonałość

Wyraźnym kształtom
I cenom nie ufaj
Marzenia się spełniają
Im dłużej się marzą

Może w pogoni za szczęściem
Trzeba się zatrzymać
Hodować dzikość włosów
Śledzić drogę chmury
Pozostać na pustkowiu
Leżąc w gąszczu trawy

Dla tych co wiedzą wszystko
Być po prostu głupim

Beata Klary Kilka słów o haiku

Choć o haiku powiedziano już wiele, to specyfika tego gatunku powoduje, że dyskusje o nim wciąż trwają. A skoro jest o czym dyskutować, to warto przypomnieć sobie parę desygnatów, które rządzą tym ulotnym gatunkiem wiersza zrodzonego w dalekowschodniej kulturze. Wielu poetów, których kusi ta pozornie łatwa forma wypowiedzi poetyckiej zamiast haiku tworzy często swoistego rodzaju trzywersowe „potworki”, które nie mają nic wspólnego z poezją. Kierowanie się tylko wymogiem metrykalnym, czyli układem 5, 7, 5 sylab nie jest postępowaniem właściwym. Oto kilka potwierdzających ten pogląd wniosków.

Przede wszystkim haiku jest opowieścią o percepcji, a także o procesie uzyskiwania jakiejś samowiedzy pod wpływem postrzegania świata. Chodzi więc o zapissek dokonany „na gorąco”, o ledwie pochwycony impuls przeżycia. A więc w haiku najważniejsza jest ekspresja, której treścią ma być impresja. Mówi się więc o haiku jako o wierszu jednoobrazowym z nakładającymi się na siebie pojęciami.

Trudno ustalić jeden wzorzec kompozycyjny haiku. Z pewnością są spośród utworów realizujących ten gatunek takie, w których wyraźnie dają się wyodrębnić dwa akty:

1) przeniesienia wybranej rzeczy w realistyczny opis (zazwyczaj w europejskim zapisie obejmujący pierwszy wers) oraz

2) jego imaginacyjną „obróbkę”, a więc subiektywną transformację spostrzeżonego przedmiotu. Proces ten można nazwać w pierwszej fazie „cytowaniem z rzeczywistości”, w drugiej – „rekontekstualizacją”. Tak dzieje się choćby w utworze **Kobayashi Issy**:

*Krzyczą cykady
ja i mój dom za chwilę
zmeni się w kamień*

Poza tym w haiku chodzi o próbę zrozumienia świata „bez dążenia”, a więc przy kontemplacyjnej bierności podmiotu (*mushin*), przestrzegającego zasady „niedziałania”, nieingerencji, co często jest obce europejskiej tradycji poetyckiej. **Sven Fagerberg** zauważył, że zen nie jest przystosowany dla człowieka Zachodu. Zen bowiem to sztuka milczenia, w której do satori wiedzie kilka ścieżek: nieobecność myśli (*wu-nien*), zlekceważenie uczuć (*wang sing*) lub pozostawienie umysłu własnemu biegowi (*zen sin*). Żadna z nich nie wydaje się w kręgu kultury europejskiej (nam tak bliskiej) na tyle atrakcyjna, by dla niej bez żadnej asekuracji porzucić drogi jaśniejsze i lepiej przetarte. Tu chodzi raczej o pokorne podsluchanie świata niż jego czynną eksplorację; o *abulię*, postawę, której najbliższy na polskim gruncie był **Miron Białoszewski** – akurat nie piszący haiku. Nie piszący – programowo, lecz ocierający się w wielu wypowiedziach poetyckich właśnie o ten wzorzec; a jako przykłady można wskazać wiersze: *yoga yarzębinowy*, *Dziki kraj przyczyn*, a zwłaszcza pewne utwory z tomu *Rozkurz* zamieszczone w cyklu *Wyrwyki* albo wiersz:

*pierwszy raz słyszę
dwie cisze
na oba uszy*

Takie podejście do tematu haiku pozwala wyróżnić spośród rodzimych adaptacji tego gatunku trzy warianty. Są nimi:

1) inspiracje i zblżenia – wariant reprezentowany przez poetów swobodnie i bez gatunkowych zobowiązań sięgających do japońskiego źródła. Tu mieszczą się zarówno pewne obszary miniaturowej twórczości **Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej**, jak **Jerzego Harasymowicza** i **Ryszarda Krynickiego**;

2) synkretizm kultur i dialog tradycji – świadome, analityczne i komparatystyczne eksperymenty poetyckie, w których zestawia się trzy poetyki: japońską, imażystyczną i własną poetykę autorską. To jednak epizod reprezentowany jednoosobowo przez **Stanisława Grochowiaka** i jego pośmiertnie wydany zbiór *Haiku-images* (1978);

3) imitacje – naśladownictwa masowe, począwszy od II połowy lat 70. XX wieku.

Który z modeli wybierze piszący, jest jego osobistą sprawą, ale żywnie nadal przekonania o „łatwości” tego gatunku będzie już zwykłą ignorancją, która może prowadzić do błamażu. Bo nie ma przecież nic gorszego od haiku bez olśnienia i poetyckiej niespodzianki, a takie właśnie „potworki” zdarzają się nader często.

Haiku

Matsuo Basho

W tej okolicy
wszystko, co wzrok obejmie
takie jest chłodne

*

Wokół tak cicho -
stapia się z litą skałą
wołanie cykad

*

Niech młode liście
z oczu posągu zdejmą
kroplę, co świat zasłania

*

Kwiaty rzepaku
ze wschodu księżyc patrzy
z zachodu słońce

Jerzy Harasymowicz

Sześć pięter motyli
chwije się
nad trawnikiem

*

Nic nie pada
sam rośnie
deszcz na dachu

*

Wierzba nie rośnie
to tylko splot powietrza
pusty w środku

Leszek Engelking

mroźny poranek
na szybie autobusu
odbicie zorzy

*

noc tak męcząca
z boku na bok i nagle
wrony o świcie

*

parki i już mury
i nad samym więzieniem
rozświergotanie

Hanna Kaup

Świat i ja – moje dobre i złe dni



Latem bieżącego roku Fundacja Arka oddała w ręce czytelników zbiór pokonkursowych opowiadań pt. "Świat i ja - moje dobre i złe dni".

Ich autorami są ludzie niepełnosprawni z całego kraju, mieszcący się w przedziale wieku od 7. do 70. lat, a więc dzieci, które ledwie rozpoczęły naukę w szkole, uczniowie starszych klas, studenci, doktoranci i pracownicy wyższych uczelni, działacze społeczni, poeci, biznesmeni i ludzie żyjący tylko w czterech

ścianach swoich mieszkań.

Tę ich różnorodność łączy doświadczenie przeżytej traumy. Każdy z nich był lub jest dotknięty poważną chorobą, która odmieniła jego życie na jakiś czas lub na zawsze. Wśród opowiadań znajdują się historie osób słabo lub wcale niewidzących, słabo lub wcale niesłyszących, sparaliżowanych, pozbawionych szans na samodzielne poruszanie i takich, które usłyszały najczarniejszą diagnozę, że mają raka, stwardnienie rozsiane, że cierpią na schorzenia astmatyczne, kardiologiczne, itd.

Książka, którą macie Państwo okazję zdobyć, jest jedyna w swoim rodzaju, gdyż odpowiada na zapotrzebowanie ogromnej liczby czytelników. Każdy z nas - w mniejszym lub większym stopniu - zetknął się z chorobą własną lub kogoś bliskiego i często pod jej wpływem nie tylko załamywał ręce, ale i tracił wiarę w sens życia. Pewnie było też tak, że nie wiedział, jak poradzić sobie z nieoczekiwaną sytuacją, jak traktować tego, który stoi obok, ale nie o własnych siłach.

Mogłoby się wydawać, że opowiedziane historie napisali ludzie niepełnosprawni dla innych niepełnosprawnych. Z pewnością tak też jest, ale powinni ją przeczytać przede wszystkim ci, obok których toczy się ich życie.

Jestem przekonana, że można, a nawet trzeba, traktować tę książkę jak modlitewnik, do którego się wraca z prośbą o nową nadzieję. Bo opisanych przypadków nie da się przeczytać jak powieści beletrystycznej. Zbyt dużo w nich ładunku emocjonalnego, który trzeba sobie dawkować, a przez to też prawdziwie poznawać drugiego człowieka.

"Świat i ja" to także księga złotych myśli, których autorami są ludzie, w szczególności sposób odczuwający dar takiego życia, jakie zostało im ofiarowane. To oni mówią, że: "Zwycięstwo nie czyni szczęśliwym, ale samotnym", "Każdy człowiek jest dotknięty jakąś ułomnością", "Jesteśmy podobni do kwiatów, lecz by ukazać swoje wnętrza, musimy być otoczeni światłem i ciepłem", "Nie każdy uświadamia sobie, że niekiedy większe może być ukryte kalectwo moralne niż ułomność fizyczna", "To wielka odwaga żyć."

W dzisiejszym świecie szalonego tempa nieszczęść wypływających z ludzkiej nienawiści, ta książka to skarbnica zrozumienia i źródło siły na trudną codzienność.

Razem z książką otrzymacie Państwo również prezent wyjątkowy: szczerą, bezinteresowną przyjaźń każdej z osób, która zwraca się do Was - z tajemnicą swojego życia, mówi o tym, co głęboko zalega w duszy i umyśle, sygnalizując jednocześnie, czego oczekuje i wyjawiając bezcenne rady, dotyczące zmagania z niespodziewanym i całkiem niewymarzonym losem.

Julia Kozaryn

O rozterkach Kasandry

Światu został już nadany odpowiedni porządek, wiadomo co jest czarne, a co białe, wszystko ma już swoje określone miejsce, nawet piekło zostało odpowiednio zagospodarowane. Ludzie wiedzą, co jest dobre, a co odbiega od norm moralnych, poddali to chłodnej, beznamiętnej analizie. W tym świecie nie ma miejsca na emocje, uczucia, nie ma miejsca na litość, przebaczenie, próbę zrozumienia, człowieczeństwo przegrywa kolejną bitwę z postępem cywilizacyjnym. Czyżby ludzie zatracili swą tajemniczość, skoro można ich rozpoznać po kolorze? Czyżby zaprzepaścili gdzieś swoją skomplikowaną naturę, skoro można ich podzielić według kategorii dobra i zła? A gdzie się podziała bogata paleta odcieni szarości, gdzie ten wielki obszar pomiędzy skrajnościami, którymi są niewątpliwie dobro i zło, czy ludzkość dąży do osiągnięcia tych skrajności, czy nie słyszy już rozpaczliwego krzyku „szarości”? Świat techniki na tyle się rozwinął, doszedł do takiej perfekcji, że posiadamy już „specjalistów od dobra i zła”. Muszą oni być wszakże nieomylni, skoro równają się z samym Panem Bogiem, ba – są od niego lepsi, skoro decydują się przejąć jego obowiązki. Może jednak stało się tak, że kategorie etyczne nabrały wraz z postępem cywilizacyjnym nowego znaczenia, rozpatrywane są teraz w wymiarze ludzkim – ustalonym przez ludzi – a nie kosmicznym, danym nam przez siłę wyższą.

Jak ostrzec konsekwentnych... W tym fragmencie nasza Kasandra ujawnia się całkowicie. Ona zaniepokojona i niepewna swojej roli, niepewna co musi zrobić, jak to zrobić i czy to zrobić. Oni konsekwentni, posiadający swoje określone racje wiedzą, czego chcą od świata i z uporem do tego dążą, nie miewają rozterek, wierzą w słuszność swoich postanowień, czynów i celów. Posiadają swoje racje, więc podporządkowali się racjonalnej, obojętnej, pozbawionej emocjonalnego wymiaru rzeczywistości. Racje są tylko sobą, nie towarzyszą im wątpliwości, tak obecne przy Kasandrze, nie cechuje ich uczuciowość. Konsekwencja nie pozwala na rozglądanie się na boki, dążenie do określonego celu wymaga maksymalnego skoncentrowania się na nim, niemożliwe jest wtedy życie w szerszym wymiarze. Możliwe jest tylko to, co racjonalne, inne rzeczy nie mieszczą się w tych granicach, nierealne są więc uczucia, jak kiedyś powiedziała moja dobra przyjaciółka: „Czy miłość jest racjonalna?” Może nie jest, ale na pewno jest czymś, co posiada głębię, więc zgodnie z antytezą Kamieńskiej „niemożliwość” uprzemysłowionego świata jest możliwa.

Forma wiersza wolnego, powszechne zastosowanie przerzutni sprzyja stworzeniu ciekawej kompozycji. *Wiersz poczyna znaczyć podobnie jak rzeźba, nie tylko swoją materialną zawartością, lecz i prześwitami jakie jego struktura zostawia dla ruchu powietrza dla przepływu milczenia* (Marian Płachecki. „Miary milczenia” Tygodnik Kulturalny 1979, nr 21). Kamieńska pozostawia wiele miejsca na milczenie, na przemyślenie tego, co zostało zmaterializowane, zapisane. Brak odpowiedzi na postawione pytania też jest milczeniem, ponieważ jest nim wszystko, co niewypowiedziane, wszystko, co pozostaje w nicości. Motyw milczenia, ciszy, jednego słowa jest bardzo żywy w poezji Anny Kamieńskiej, zajmuje istotne miejsce w każdym tomiku jej wierszy. W wierszu „Przezroczyście” pisze ona;

*Słowa są jak puste łuski
co poroniły gorzkie ziarna
w ziemię milczenia*

...*Świat ze słów* jest więc światem pustym, pozbawionym jakiegokolwiek sensu, jest tylko makietą prawdziwego świata, w którym nie ma tego, co najważniejsze, nie ma wnętrza. To co ukryte, stanowi określone wartości, Kasandra nie wie, jak ostrzec przed światem, w którym już ich nie będzie, który dąży do udoskonalenia materii, nie pozostawiając miejsca na rozwijanie, co gorsze pozostawienie arystotelesowskiej formy. Człowiek chce wszystko ubierać w słowa, czuje potrzebę nazywania wszystkiego, czym się otacza, wszystkiego, co go dotyczy. Poetka w wierszu „**Modlitwa, która na pewno będzie wysłuchana**” pisze:

*Pozwól mi iść przez ciszę (...)
Spraw niech dalej dzieje się świat*

Wartość ma tylko życie poza światem, odizolowanie się od machiny będącej w ciągłym ruchu. Taką możliwość mają tylko współcześni prorocy, to oni, jak już wcześniej wspomniałam, odróżniają się wrażliwością, oni tylko potrafią zauważyć to, co przestało już być dostrzegalne. Nie potrafią jednak o tym opowiedzieć, nie zostaną wysłuchani, ciąży na nich klątwa rzucona przez Apolla. Pozostaje im tylko przemilczeć to, czego nie mogą wykrzyczeć.

Po co ludzi ostrzegać przed ludźmi? Tu chyba nadal jest żywe motto, które Zofia Nałkowska umieściła na początku swojego zbioru opowiadań „Medaliony” – *Ludzie ludziom zgotowali ten los*. Nikt inny tylko człowiek jest odpowiedzialny za kondycję obecnego świata, nie spogląda na niego refleksyjnie, nie widzi postępującej degradacji i nie zobaczy jej, ponieważ prorocy nie wiedzą jakimi słowami o niej przestrzec i nadal milczą. Człowiek przygląda się światu bez bólu ponieważ tego uczucia nie mogą wywołać rzeczy same w sobie, tworzy się błędne koło, które nie ma końca.

Po serii pytań retorycznych *jak ostrzec...* To pojawia się na końcu pytanie *Jak ich przekonać aby zechcieli odsunąć się choć trochę*

Człowiek dzisiejszego świata jest tak zapatrzony w siebie, tak zaafierowany własną obecnością w nim, że nie dostrzega istnienia innych, równie ważnych i wartościowych jego składników. Jest tak bardzo przejęty swoją rolą, tak pewny swojej wielkości i niepowtarzalności, że zamyka się nie tylko na rzeczywistość pozaludzką, ale także na drugiego człowieka. Może dlatego Kasandra nie ostrzega, wie, że nie zostanie nawet zauważona, jeżeli nawet jej się uda, to narazi się tylko na śmieszność. Bo jak można ostrzegać ludzi przed nimi samymi, skoro są oni tak doskonałą formą życia, jak można ich przekonać, aby się odsunęli, aby nie zasłaniaли swoim. Jakże doskonałym cieniem słońca, skoro to oni są najważniejsi, najdoskonalsi? Czymże jest słońce wobec potęgi i wielkości człowieka, po co mu ono, sam jest tak oświecony, że blask od niego bijący wystarczy za kilka takich słońc?

Postać Kasandry jest obecna w różnych dziedzinach sztuki, w rzeźbie, muzyce i malarstwie. Uwiecznił ją tak wielki znawca kobiet jak Rubens malując „Ajaksa i Kasandrę”, dzięki niemu i wielu innym mit złowróznej prorokini nie zagubił się gdzieś w historii, a twórcy tacy jak Kamińska sprawiają, że żyje on nadal. Mitologia to wielka skarbnica mądrości, gdzie poeci i nie tylko oni szukają natchnienia i środków do wyrażania tego, co ważne. Wielcy współczesnej poezji - Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska i wśród nich Anna Kamińska chętnie sięgają do tej skarbnicy i na nowo ożywiają mityczny świat. Wymieniłam ich obok siebie nie tylko ze względu na ten jeden aspekt ich twórczości; łączy ich także forma wiersza wolnego, a u Szymborskiej znajdziemy utwory charakteryzujące się poetyką pytań retorycznych.

Nieobce też jest poetce filozofowanie. Cały utwór przesiąknięty jest postawą egzystencjalisty pytającego o sens i cel życia, przy-

gniecionego niemocą i zwątpieniem. Kamińska podejmując dialog przyjmuje sokratejską postawę „rozmawiającego filozofa”, posługując się tylko innymi słowami powtarza za Sokratesem: „wiem, że nie wiem” ale także podejmuje dyskurs z tym stwierdzeniem.

W kolejnych epokach, zarówno historycznych jak i literackich Kasandra pojawiała się nie tylko jako motyw mitologiczny, ale także jako osoba wyposażona w dar bardzo pożądany w wielu momentach dziejowych, w dar wieszczania. Już w oświeceniu wyraźnie zarysowana była pozycja poety-wieszczka, podejmującego próbę naprawy ludzkości poprzez słowo poetyckie. Największą osobowością tego okresu był niewątpliwie Jan Kochanowski, choć w tym aspekcie należy z równym szacunkiem wspomnieć o Ignacym Krasickim. Wymienieni panowie w swych utworach zawarli prawdy i nauki moralne adekwatne

nie tylko do ich czasów, ale zachowujące aktualność przez wieki i trwające po dziś dzień. Zarówno Kochanowski, jak i Krasicki nie przepowiadali przyszłości jak Kasandra, ale ich słowa nie do końca „uderzały” w odbiorcę, co stanowi cechę wspólną wymienionych wieszczów. Epoka romantyzmu polskiego stworzyła idealne warunki do rozwoju tak wielkiej osobowości, jaką był Adam Mickiewicz. W sytuacji, kiedy Polska zniknęła z mapy Europy, a duża część inteligencji zmuszona była do emigracji, „bezdomny” naród potrzebował nadziei na odzyskanie niepodległości i przywódcy, który by ich do tego poprowadził. Adam otrzymał rząd dusz, jego dzieła motywowały, ponieważ można w nich było odnaleźć sens zastanej sytuacji oraz przepowiednię nieuchronnego zwycięstwa. Bardzo piękne, wzniosłe porywające prorocтва: wystarczy złożyć siebie w ofierze, a Polska będzie wolna, złożyć w ofierze kwiat młodości polskiej, wzniesiacząc, nie mające szans powodzenia, powstania, nawołując do śmierci. Cała konwencja romantyczna była szkodliwa, a działania podejmowane w jej duchu z góry skazane na klęskę. Zupełnie inaczej wyglądałaby Europa, gdyby takie osobistości jak Mickiewicz czy Słowacki byli w mocy klątwy, która zawisała nad Kasandrą.

Każdy czas historyczny tworzy swoich własnych proroków, jedni z nich przemijają niezauważeni – inni wzbudzają wiele kontrowersji i pozostaje po nich niezatarty ślad, jednym przyznajemy rację i słuchamy ich ostróg, na innych patrzymy z niedowierzaniem i politowaniem. Niestety, jak nauczyła nas historia, dopiero kolejne pokolenia będą mogły ocenić, które z prorocत्व były trafne – a które nie, tak jak my oceniamy proroków poprzednich epok,

Głęboka refleksja nad światem, odwaga, a może zuchwałość przejęcia na siebie przekleństwa Kasandry, krzyk rozpacz,

lęku, bezsilności, a może próba wejścia w rolę współczesnego wieszka, wyrażone prostotą, dosłownością, konkretami. Lektura wiersza powoduje powstanie wielu pytań, ale czy prowokuje do dania odpowiedzi? Ja od początku i konsekwentnie nie odpowiedziałam na żadne z nich: Czy dobrze zrobiłam? Czy jako czytelnik spełniłam oczekiwania autorki? Przecież pytania się zadaje, aby ktoś na nie odpowiedział. Myślę, że moją konsekwencją, upór i bunt można usprawiedliwić tylko jednym słowem – poezja – jest przecież ona innym światem, rządzącym się własnymi prawami.

Julia Kozaryn (studentka PWSZ w Gorzowie)

Anna Kamińska Rozterka Kasandry

Ale jak ostrzec mądrych
jak ostrzec ich przed
własną mądrością,
przed chłodnym
spokojem moralistów
Jak ostrzec tych
którzy podzielili już świat
na czarne i białe
którzy już wpakowali
do piekieł potępionych
rozpoznając ich po kolorze
lepiej od samego Pana Boga
Już nie potrafią nikogo ułaskawić
nikomu przebaczyć
specjaliści od dobra i zła
Jak ostrzec konsekwentnych
przed ich konsekwencją,
jak ostrzec racje przed ich racjami
jak im ukazać
ciemną, głąb możliwej
niemożliwości
Oni tak pięknie ustawili
swoją świat ze słów
i opasali kolczastą ironią,
Jak ludzi ostrzec przed ludźmi
kiedy przyglądaj a się światu
bez bólu
a każda rzecz w ich spojrzeniu
staje się tylko rzeczą,
Jak ich przekonać
aby zechcieli odsunąć się
choć trochę
by własnym cieniem
nie zasłaniaли sobie słońca

Sen o zarazie

Zaraza w mieście
 Pachnie bardzo brzydko
 Wszystko nabrzmiało strachem
 Wszystko zbudowane jest
 z bakcyli

Zaraza się pleni
 grzęźniemy w jej błocie
 - Ratunku!
 - Prędeży!

Doktor zawołany do nędznego
 staruszka
 jest wielkim bakcyłem
 w okularach

Usiadł
 Zwiesił swój osowiały
 podobny do starego foksteriera
 łeb

Z kąta wydobywa się jęk
 następny i jeszcze jeden
 kolejny lękliwy dźwięk
 od środka jaźni
 brzmi jak mechaniczna pralka
 w szpitalu

Trzeba jeszcze biec do apteki
 Otwarta na oścież ma woń
 beznadziei, zarazy i morfiny
 Prędko - trzeba ratować!
 Z serum w sercu prosimy o
 jeszcze
 jeden
 darowany staruszkowi dzień

Tymczasem
 Doktor-Bakcył zasypia
 jak zastygłe wahadło zegara
 - Ratunku! Prędeży!
 Wolniej - - - - -

Budzę się z krzykiem

* * *

Teresie Rozpłochowskiej - Świtale

W skalistej bieli wiersza
 jest wzlot słowa ciężarnego
 słowa
 pionowe milczenie
 skamieniały czas

żeby to wszystko wyrwać
 jak ziarnko oddechu w śliskim
 locie
 zatrzymać

Obecność

Małgorzacie Puławskiej

Wciąż nieodmienna obecność
 w tym samym miejscu
 gdzie gałęzie drzew już nie
 grożą

wybuchem słońca
 a galaretowate powietrze
 niezbyt drży

Wciąż ta obecność dziwna
 gdzie cisza świt rozrywa
 pod strychem nieba
 a horyzont wydłuża się kołyszce
 i słycać w nocy
 ptaków ludzki krzyk

Wciąż ta obecność poety
 nigdzie nieobecna
 tylko
 wśród szklanych ścian wierszy
 zapisać trzeba tę mleczną,
 piramidę

chmurę
 w strudze słońca

zamrozić

**Poeci**

Kochanej Basi Kandyble

My poeci
 zanurzeni w gęstym powietrzu
 niepojmowania nas
 otoczeni własną twarzą
 ze szpilkami oczu
 wbici we włoskowate naczynia
 chmur
 patrzemy
 na wprost słońca
 aż wyrastają z nas
 krzewy
 ich ostry zapach rani pod skórą
 wiatr wieje
 oczy słyszalne wiatru są jak
 wilki

z ciemnego boru
 lub słowa stargane bielą
 kartki która wiotczeje
 jak kropla rosy
 sływa niewidocznie i przegryza
 powietrze

my poeci w jednej kropki chwili
 piękni i bezradni

Z naszych pól

W mych wierszach są zboża
 i maki

I łąka ścieżkami deptana
 Wierzbami zdobiona. Krzaki
 I brzoza ma ręką sadzona
 Wyrosła ku niebu szumiąca
 Ptak w niej się kryje w upały

Błogosław Boże tę ziemię
 By naszą na zawsze została
 By noc ciemna ją otulała
 a rankiem chłodziła ją rosa

Ziemio - na zawsze już z Tobą
 Ty byłaś mi życia ozdobą.

2.03.2004 r.

Cisza

Kiedy już przyjdzie ta pora
 Na pewno odejdę stąd
 Żal tylko będzie kwiatów i pola
 I tego miejsca gdzie mój dom
 Ziemia przesłoni niebo i słońce
 Oczy zapadną, braknie

powietrza

A mego głosu nikt nie usłyszy
 Będzie migotać płomieniem
 świeczka

Wtedy mnie burze ominą
 w biegu

Huk się zatrzyma istot żywych
 Mnie nic nie wzruszy
 Łza nie upadnie
 Bo snu wieczności
 Nikt nie obudzi.

2.03.2004 r.

**Radość
to znaczy żyć**

Kiedy trwa życie - żyje radość
 moja
 słońce nie gaśnie, choć go noc
 przesłoni
 Ciepło jest wokół serca mego
 w cieniu
 i żadna ciemność słońca
 nie przegoni

Kwiaty się śmieją, chociaż
 umierają
 bo kolorami zdobiły swe życie
 a ja dziękuję, że widziałam
 niebo
 wszystko na ziemi i ranek
 o świcie.

Tour de France

Teraz, kiedy już skroń zwycięzcy zdobi laur, gdy ocean adrenaliny powoli ucisza spienione bałwany, a szpalty gazet wypełniają inne pasjonujące wydarzenia, można już to powiedzieć. Można ujawnić tajemnicę, która ciążyła kamieniem młyńskim wtajemniczonym w sprawę miłośnikom kolarstwa. Tak, niewiele brakowało, aby największy wyścig kolarski na świecie - Tour de France - nie doszedł do skutku.

A wszystko za sprawą strajku cyklistów, wiszącego na włosku. Jak zwykle wszystkiemu winni cykliści - mówią jedni. Drudzy obwiniają francuskiego molocha elektryfikacyjnego - L'Électrification Générale Française. Ci ostatni są w zdecydowanej większości. "Elektryczny wampir", "energetyczna pijawka" - to wcale nienajstrzejsze epitety, jakimi określa się tego potentata branży energetycznej. Jeśli na chwilę zapomnimy o uprzedzeniach wobec chciwych koncernów i własnej sympatii dla kolarstwa, to obiektywnie stwierdzimy, że rzeczywiście mamy do czynienia z zachłannym elektrycznym wampirem.

Jak wiadomo, niemal u zarania tego prestiżowego wyścigu L'Électrification Générale Française pozyskiwał niemal całą energię wytwarzaną przez pedałujących kolarzy (nie licząc drobnych odbiorców ustawionych wzdłuż trasy wyścigu, jak sprzedawcy waty cukrowej, czy wody sodowej z saturatorów). Jesliby przemnożyć wartość wyprodukowanej w ten sposób energii przez ilość edycji wyścigu, to otrzymamy tysiące megawatów. Ale "energetycznej pijawce" ciągle mało. Z roku na rok na trasie wyścigu przybywało agregatów zamieniających energię mięśni pedałujących w pocie czoła cyklistów na energię elektryczną (to te czerwone szafy z żółtymi literami: EGF, przeciętymi błyskawicą). Już prawie zabrakło miejsca dla licznych wielbicieli wyścigu, zbierających się na trasach etapów, tak gęsto ustawione były agregaty. A co najgorsze, że na wysiłku kolarzy, tych herosów szos, tych milczących bohaterów, corocznie żerowała ta wiecznie nienasycona pijawka.

Ale wreszcie cykliści powiedzieli dość! Dość wyzyskowi. Postawili twarde warunki (to twardzi ludzie) i wygrali. Skończyła się dla EGF era pozyskiwania taniej energii bandyckimi metodami. Teraz to cykliści będą dyktować warunki. Wreszcie zwyciężył sport! Kurde France.

27.07.2004 r.

Wbijacz gwoździ

W środy Okręgowy Wbijacz Gwoździ - pan Stefan - odwiedzał naszą kamienicę. Zjawiał się zwykle rano, a jeśli miał dużo zleceń, to koło południa. Wypatrywaliśmy go przez okna, a co bardziej niecierpliwi co chwila wychodzili na schody, żeby sprawdzić, czy nie słychać już jego niespiesznych kroków. Przyjmowany był ze szczególną atencją, częstowany herbatą z konfiturami, a nawet domowej roboty winkiem. Nikt jednak nie próbował spoufalać się z panem Stefanem, jego dyplom mistrzowski wbijacza gwoździ, a zwłaszcza skupienie i perfekcja, z jakimi pracował, oniesmielały. Wystarczyło gościć go pod swym dachem i patrzeć jak wbija gwoździe.

Zawsze przychodził ze skórzanym futerałem, w którego aksamitnym wnętrzu spoczywał piękny stalowy młotek. W osobnym pudełku, które wydobywał z torby przewieszanej przez pierś, znajdowały się

gwoździe. Każdy owinięty w delikatną bibułkę, wypolerowany i zanurzony w płynie antykorozyjnym. Pan Stefan rozkładał powoli akcesoria wbijacza, celebrował każdą chwilę. Domownicy mieli poczucie udziału w misterium i tylko dzieci bezceremonialnie niemal wypychały się na plecy malutkiego pana Stefana, aby lepiej widzieć, a może i dotknąć błyszczącego młotka. Na to jednak pan Stefan nie pozwalał. Nielatwo było otrzymać pozwolenie na młotek, jak zresztą i licencję na wbijanie. Żaden wbijacz nie pozwalał, by ktokolwiek dotykał jego narzędzia, bo to psuło młotek. Niektórzy mistrzowie zapobiegawczo stosowali prawidła do młotków, by zachowały właściwy kształt.

Kiedy pan Stefan przykładł gwoździe do ściany czy drewnianej belki, zapadała absolutna cisza, którą po chwili wypełniały stuknięcia młotkiem. Zawsze tylko tyle stuknięć, ile trzeba. Precyzyjnie mierzone uderzenia, rytmicznie, pewnie. To robiło wrażenie. Z tego powodu niektórzy mieszkańcy obstalowali wbijanie gwoździ bez praktycznej potrzeby, ot z czysto estetycznych pobudek, by napawać się niepowtarzalnym spektaklem. Jednak pan Stefan był artystą w swoim fachu, toteż sam wybierał właściwe miejsce na wbicie ćwieka, a bywało, że rezygnował z jego wbicia z przyczyn praktycznych czy kompozycyjnych.

Tak było kiedyś. Teraz prestiż wbijaczy gwoździ mocno podupadł. Licencję dostaje niemal każdy chętny, więc miernota opanowała zanczą sztukę. Panoszy się podziemie wbijacze - pokątni partacze odwalają fuszerkę degradując prastary fach. A Pan Stefan sposobi się do przejścia w stan spoczynku.

Trudno się zatem dziwić, że tak wiele tęskni za starymi dobrymi czasami.

06-04-2004 r.



Krzyżówka

Moją żonę ostatnio za często bolała głowa. Chroniczny ból głowy kobiety jest nie do zniesienia dla jej męża. W końcu zaczęło mnie to niepokoić. Przeszukałem jej torebkę i toaletkę. Włamałem się do jej telefonu komórkowego, a nawet kilka razy niespodziewanie wróciłem wcześniej z delegacji. Wszystko na nic, nie odkryłem przyczyny jej migreny.

Pomoc nadeszła z zupełnie nieoczekiwanej strony. Kiedy otworzyłem swoją ulubioną gazetę, by jak zwykle zacząć od krzyżówki, z nadzieją przeczytałem następujące zdanie: "Rozwiązaniem krzyżówki będzie imię, nazwisko i dokładny adres kochanka twojej żony". Niecierpliwie zacząłem czytać hasła. "Stolica Polski na "w" - to łatwe, "ryba wigilijna (nie rekin)" - również. Jednak: "nazwa rzadkiego kleszczaka z Gwinei Równikowej", czy "imię ciotecznej siostry ojca wodza Mamunów" - to już rozgrzało moje zwoje mózgowo do czerwoności.

Niestety, ostatecznie, po niemal ośmiu godzinach zapasów z krzyżówką, poddałem się. Gorycz porażki paliła jak rozżarzone żelazo przyłożone do czoła o 6.30, tuż przed przebudzeniem. I nie wiem, co w tamtej chwili było gorsze: świadomość, że nie poznam prawdy o mojej żonie, czy klęska mojego intelektu, o którym miałem lepsze mniemanie?

Nagle poraził mnie oczywisty fakt: rozwiązanie krzyżówki ukaże się za tydzień w gazecie! Wtedy dowiem się z kim flirtuje moja żona. Ale... dowiedzą się tego także wszyscy czytelnicy...

Teraz, im bliżej do weekendowego wydania gazety, tym bardziej się denerwuję. Wręcz wzbiera we mnie panika. Nigdy, przenigdy już, nie będę rozwiązywał krzyżówek.

22.02.2004 r.

Byłam ptakiem

Dojrzewiałam do lotu ptaka
 odziana w piękne pióra
 szybowałam wysoko
 coraz wyżej
 ponad szumy i ziemskie dźwięki
 by smakować upragnionej
 wolności
 obleczona w świetlistą aureolę
 krążyłam po Mlecznej Drodze

zidentyfikowana przez
 Najwyższego
 runęłam w otchłań
 budząc królestwo słonych łez
 2003

Przesłuchanie

Słońce
 najwyższy prokurator
 bierze mnie w swoje obroty
 by ujawnić skrywaną tajemnicę

muska swoją wiazką
 bym rozluźniła spięte członki
 podkreca temperaturę

poddaję się hipnozie
 obnażam się bezwstydnie
 perfidnie zagląda
 w każdy zakamarek mojej
 duszy

zacierą ślady przeszłości
 wypala obszar rozkoszy
 nic nie zostawia na pocieszenie

temperatura spada
 próba mowy uśmiechu tańca
 jaka jestem pusta
 2003

* * *

„Kto w ciebie kamieniem -
 ty do niego z chlebem”

Naiwna wierzyłam
 że tak trzeba
 karmiłam bestię przez lata
 rosła w siłę
 uderzała coraz częściej
 coraz mocniej
 poczwara
 nie nadażałam odpierać razów
 ślepa i głucha
 na wszystkie akty przemocy
 2003

Używana miłość

Kupiłam tanio
 używaną miłość
 w lumpexie
 w użyciu niedopasowana
 w dodatku skacze
 z kwiatka na kwiatek
 rozsiewa cholereę nawet wiatr
 związała
 nie stać mnie
 na nową

2004



rys. M. Ćwiertnia

Spowiedź

Ileż to razy
 padałam na kolana
 odprawiając
 świętokradzką spowiedź
 dusiłam w sobie grzechy
 splotem słonych łez
 przykrywałam czarną woalką
 by nie ujrzały
 światła dziennego
 skruszona pokutnica
 wracam na pastwisko
 by podpisać
 listą obecności

2003

Ewa

Obiecano mi raj
 na ziemi
 jestem Ewą
 do grzechu poczęta
 spragniona owocu Adama
 nie stąpam na wyniosie oitarze
 by otrzymać znak
 przeznaczenia
 dekalog zmurszał

stał się nieczytelny
 mam drugi w zapasie
 na pamięć znam
 szatańskie wersety
 wskazówki zegara naznaczają
 czas
 idą w odwrotną stronę
 wierząc w swoje zwycięstwo
 połykam węża
 wijąc się z bólu
 pełzam ognistą drogą do piekieł

2003

* * *

Jestem spięta
 rozrywam wszystkie agrafki
 rozdarta na strzępy
 pasuję tylko
 do ludzi z marginesu

2004

* * *

Bawią się mną
 jak komórka
 wykręcają numery
 jedni zaczynają od zera
 inni z obowiązku
 wielu zaspakają
 swoją próżność
 numery się dublują
 troją
 nakładają na siebie
 co chwilę ładują
 jestem pełna

2004

* * *

Miłość
 nasza
 urosła
 do drapacza
 chmur
 dostawiamy
 nowe
 piętra
 bujamy
 w obłokach

2004

* * *

Dokąd tak pędzisz
 głupi czasie
 pociąg do życia
 coraz słabszy

2003

Warsztat poetycki na zadany temat:

1. Czy ja muszę czuć poezję?
2. Czy łatwo jest napisać wiersz?

Beata Klary

Sztuka jest intuicją

Czy ja muszę czuć poezję?
Zapytaj mnie
- Czy ja czuję śpiew ptaka?
- Rozumiem świergotanie?
- Czy ja czuję blask księżycy?
- Rozumiem luminowanie?
Co piękne jest nieodgadnione
Poranek
Zmierzch
Poezja

* * *

Myślicie, że łatwo jest
napisać wiersz...
zamknąć myśli
w ciągu zrozumienia...
literami zobrazować świat...
M-Y-Ś-L-I-C-I-E
gdy poeta zapełnia piórem
białe przestrzenie

Marek Kierus

* * *

Czy ja muszę czuć poezję
czy ja muszę ją rozumieć

widzę wiatr
nie wiem skąd wiejący

błyskawice na niebie
to fizyka
której nie rozumiem

* * *

Myślicie, że łatwo napisać
wiersz
Śniegiem
Śmiechem
ból
radością
płótnem nie zamalowanym

Myślicie, że łatwo napisać
wiersz
do szuflady
do kosza
do białej ściany

Magda Olender

* * *

Czy ja muszę czuć poezję?
Czy ja muszę JĄ rozumieć?
Niekoniecznie
Wystarczy że żyję
z zaciekawieniem
wszędzie widzę
tajemnicę
odkrywam ją
słowami wiersza
i wiem że moje życie
jest poezją

* * *

Myślicie że łatwo
napisać wiersz?
Z pewnością się mylicie
Trzeba najpierw czuć
swoje życie
Trzeba widzieć
cały świat
Czuć wszystko
wokół siebie
i cieszyć się tym

Izabela Dołhan

* * *

Czy ja muszę czuć poezję?
Czy ja muszę ją rozumieć?
Poeta patrzy na świat
przez okulary
czuje je
ma świadomość obrazu
płynącego do podświadomości
nie zawsze rozumie
to co widzi
przelewa na kartkę
niezrozumiałe
Mając nadzieję
że rozumie

* * *

Myślicie, że łatwo jest napisać
wiersz
nie
trzeba umieć dostrzec
piękno w nieciekawym
to sztuka nad sztukami
to nadawanie kształtu
własnym myślom
to nadawanie kształtu
myśli
literom.

Klub Literacki przy Grodzkim Domu Kultury

Są w różnym wieku i różnych zawodów: od uczennicy gimnazjum do emeryta. Piszą wiersze. Od czterech lat, zwoływani przez Ewę Rutkowską - miłośniczkę i propagatorkę poezji, przychodzą na spotkania klubowe do pałacu Pauckscha, bo chcą być ze sobą i rozmawiać o swoich wierszach. Najpierw były spotkania z uznanymi twórcami i teoretykami literatury, potem zrodziły się "warsztaty literackie" - publiczna praca nad tekstami, dyskusje, próby oceny, nie tylko prowadzącego warsztaty I.K. Szmida, ale także koleżanek i kolegów.

Po dwóch latach zrodziła się pierwsza książka - antologia Klubu pt. "Niemy krzyk traw", Skromna, w zeszytowej oprawie, ale "poważnie" drukowana, z grafikami Romany Kaszczyk. Pisali w niej przede wszystkim o sobie - to normalne, ale także o trudnej, otaczającej ich rzeczywistości. O pierwszych wzruszeniach miłosnych i o gorzkim w tej materii doświadczeniu. Wiele w tych pierwszych próbach było niezgody na kłamstwo głupoty i rutynę. "Niemy krzyk traw" (tytuł z wiersza Marka Kierusa) przeciw kosie, która wszystkich chciałaby sprowadzić do jednego wymiaru.

Plonem kolejnych spotkań warsztatowych była druga antologia zatytułowana "Niedzielni poeci". Książka wydana profesjonalnie przez WAG "Arsenal" w 2002 roku, z grafiką Grzegorza Piotrowskiego, także pod kątem zawartych w niej utworów była o wiele bardziej dojrzała. U jednych autorów był to efekt systematycznego uczestnictwa w warsztatach, u drugich być może efekt rozwoju naturalnego talentu wzbogaconego o doświadczenia w kolejnych dwóch latach życia. Tytuł książki "Niedzielni poeci" (także wzięty z wiersza Marka Kierusa) podkreśla szlachetną amatorskość pomieszczonej w niej poezji - pisanej w wolnych chwilach od nauki i pracy.

Na ostatnim spotkaniu Klubu zapadła decyzja o publikacji trzeciego zbioru.



Edyta Derkacz

* * *

szepty
wydrażyły ścieżki
w poduszkach
i w myślach
przestań
bo poduszka
nie pozwala mi spać
zmartwiona twoimi kłamstwami

Błąd

Nudziło się Bogu
Zbudował lampy
Zapala je i gasi

Nudziło się Bogu
Stworzył wodę
Skąpał w niej swoje projekty

Nudziło się Bogu
Uszył pluszowe zabawki
Niech żyją swoim życiem

Nudziło się Bogu
Ulepił z gliny lalki
Zabijają się nawzajem

Przestało nudzić się Bogu
Musiał naprawić lalki
Ulepić im nowe gliniane serca

Ale ich glina już dawno
stwardniała

List Anioła Wolności

Nie chcę pisać o miłości
Nie umiem zrozumieć jej celu
Nie wiem czy ją znam
Chyba nie przyjdzie
do mnie prędko

Omija mnie dużym łukiem
Przyziemnych spraw
A mnie jest z tym dobrze
Bez niej
Czuję błogą wolność
To nieprawda
Miłość nie dodaje skrzydeł
Ona je odcina

Nieśmiertelni

Nieśmiertelni jesteśmy
W naszej niewiedzy
W nadziejach naszych
Marzących
Codzienne łyż moje
Usta parzą
Nieśmiertelną powagą
Chwili
Tonącej w śmiertelności
Naszych uczuć

Małgorzata Prusińska

* * *

jak najbardziej
upoję się tobą
okrągłym
wieloprocentowym

wtulę się w ciebie
tak mocno
że zmarszczy ci się
nie tylko ramię
nie tylko ja

poparzę się
bo nie mogę
szepnąć ci do ucha
wierszy

choć bronię się
z całej siły
z zaciśniętą
klatką piersiową
odpycham ból

tobą chcę być pijana
w ciebie wsiąknąć
twoim uciszeniem
się dusić
dławić ciało
szaleństwem
tak ciebie właśnie
karmić kiczem
jaskrawym
karmić mną
nie po kolei
poezją
nagością
inaczej chyba
nie umiem

Noc jest bezwstydnny

noc z pewnością
jest mężczyzną
z zaciśniętymi u stóp palcami
bezwstydnym

nie pyta kobiet
czy może
chować się im za staniki
i wpychać język w ucho

noc na pewno jęczy
rozwartą brodą
z zarostem

noc pewnie śpiewa
pod prysznicem
i masturbuje

pióra z poduszek
potem krzyczy
miażdżąc je
i rozwiewa włosy
oddechem
pasty ziołowej

noc
zawiesza na ramach łóżka
miękki makaron
i żaluzje
jest taki prywatny
zamknięty w zależności

noc z pewnością
przyjdzie do mnie
i będzie
bardzo czarny

* * *

postawię przed tobą kosz czereśni
i będę patrzeć jak
rumienieją twoje kąciki ust
jak po wargach
ścieka ci ich sok

potem włożę między nie
płatek purpurowej róży
i błyszczącymi oczyma
będę dotykać
czerwonej pomarszczonej powierzchni

wgniotę w twoje wargi
swoje białe od tęsknoty policzki
skórę szyi
miękką część ucha
opuszki

włosy i rzęsy
różowe ze wstydu
będę miała rozwarłe usta
i dłonie szerokie z gorąca
będę drzeć

kiedy mnie dotkniesz
kiedy wejdziesz
na cztery rogi prześcieradła
i przytulę ramiona
do zimnej od nowa poduszki

a kiedy rozłożę ci się na udach
ślądem po sukience
i czerwonym paznokciem
zadrzę jeszcze parę razy
po cichu
przyłgnę do ciebie
mokrymi piersiami
i czołem wolnym
od kosza czereśni...

23/7/2004

SZYFER – polityk

W Salonie Literackim Barbary Schroeder "Na Zapiecku", w sobotę 18 września odbyła się pierwsza prezentacja nowej, pełnej zjadliwych, dla niektórych wręcz okrutnych fraszek, książki pt. "Fraszka prawdę ci powie", której autorem jest gorzowianin od 1945 roku, zasłużony Jubilat (debiut w 1964!) Tadeusz Szyfer. Jest to piąty zbiór fraszek starszego już dzisiaj, jowialnego pana, który nawet przyłapany na ulicy, fraszkami i złotymi myślami sypie jak z rękawa, na przemian z narzekaniem na zdrowie, na brak forsy czy na wredną politykę. Przypomnijmy tytuły poprzednich książek: "Parę gaf i paragraf" (Wyd. "Iskry", W-wa 1980), "Moje wyboje, czyli prawdy małe dla dojrzałych" (Gorzowska Oficyna Wydawnicza 1992), "Wolne igraszki na 102 fraszki, czyli pikantne dania do wyśmiewania" (nakładem autora, druk Spin, Gorzów 1999). Czwartą pozycją był katalog grafik Bolka Kowalskiego, wzbogacony fraszkami Szyfera zatytułowany "Ja teksty a sex ty". Wiele tekstów z tych tomików gorzowskiego satyryka weszło w skład ogólnopolskich antologii, m.in. "Żądło i miód mądrości" (Wyd. Ossolineum 1984), "Dwa wieki fraszki polskiej" i "Fraszki z żądłem (rządem)". 34 jego aforyzmy weszły w skład prestiżowego wydawnictwa pt. "Aforyzmy polskie" (Wyd. "Antyk" 2001).

Ostatnimi czasy Szyfer komentuje naszą rzeczywistość na łamach "Głosu Gorzowa" - tygodnika "Gazety Lubuskiej" i w stałej rubryce "Ziemi Gorzowskiej" - "Podane Szyf(e)rem".

Licznie zebrana "Na Zapiecku" publiczność, w tym przyjaciele autora i stali bywalcy Salonu, raz po raz nagradzali autora gromkim śmiechem i brawami. Wiele osób chciało zabrać ze sobą do domu perełki humoru Tadeusza, dzięki czemu udało mu się sprzedać kilkanaście nowych i trochę starych książek. Zawartość tej ostatniej zdumiewa aktualnością treści warsztatowo bezbłędnie skrojonych fraszek. Jedyne co można książce zarzucić, to brak staranności i korekty edytorskiej. Myślę, że nie bez winy autora i drukarni. (i.k.s.)

Z rozpędu

By gospodarczy skok nasz był wielki,
należy dobrze trafiać na belki.

Cel a środki

Pośród naszych przemian paradoks nie lada:
dla dobra narodu - wciąż się go okrada

Par lament

Ma nasz sejm zaprawdę wręcz dziejową misję:
do każdej afery powołać komisję!

Dysputanci

Jak ma coś dobrego urodzić się w kraju,
gdy nawet posłowie sobie przerywają?!

Szansa

Za honor obrali sobie politycy
wskazać młodym drogę wprost do ośmiornicy.

Fundusze

Mamy cichą eutanazję,
bowiem cena leków nas zje!

Dietetycznie

Nie pobory a gaże politycy biorą,
bo to forma zapłaty klaunom i aktorom.

Z historii

Białą plamę wyjaśniono:
okazała się - czerwoną!

Gra pozorów

Podział ten wśród prawicy jest chyba pro forma,
bo co wózek nie zmieścił - zabierze platforma

Kabała

Nie jednemu posłowi, nim kadencję skończy,
Przedwyborczą ulotkę zamienią w list gończy.

Właściwość

Prawo i sprawiedliwość - osobno, dlatego,
że nie mają ze sobą zbyt wiele wspólnego.

Bankowo

Że gospodarkę ciągnie rzemiosło,
nie wytłumaczysz w zaprzęgu osłom...

Historia kołem...

...więc średniowiecze grozi nam znów,
bo coraz więcej zakutych głów.

Prywatne zdanie

Aż krew mnie zalewa na to szarlataństwo;
czy państwo - to wszyscy, czy znów jaśniepaństwo!!

Podział dóbr

Ludziom - igrzyska! Ale o chlebie
myślą rządzący tylko dla siebie.

Teoria a praktyka

Dobry reformator nim zakrzyknie - hurra!
winien swe teorie wpięrow sprawdzić na szczurach...



Dziękczynienie

Podczas Jubileuszowej Mszy Świętej Dziękczynnej pod przewodnictwem ks. Bpa Adama Dyczkowskiego w kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Królowej Polski w Gorzowie Wlkp. z okazji 20-lecia erygowania parafii, odbyły się w dniu 11 września 2004 r. o godz. 17.00 prezentacje z cyklu Obrazy – Słowa – Dźwięki pt. „Dziękczynienie”.

W świątyni wypełnionej przez wiernych, swoje wiersze o tematyce religijnej prezentowali gorzowscy poeci z Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury: Maria Przybylak, Czesława Nieć, Łucja Fice, Andrzej Bajdor i Roman Habdas oraz zaproszone do uczestnictwa w programie panie Aldona Robak i Beata Klary.

Pieśniami śpiewanym przez wspaniałe gorzowskie wokalistki – Elżbietę Kuczyńską i Marzenę Śron, na gitarze akompaniował Ireneusz Ostapczuk. Nad realizacją dźwięku czuwał Krzysztof Matyasz. Kierownictwo organizacyjne w swoje ręce wzięli ksiądz proboszcz Roman Harmaciński. Scenariusz i kierownictwo artystyczne Czesław Ganda.

Maria Przybylak

Habilitacja Poetki

Jedną z najciekawszych gorzowskich poetek, która swój talent wzbogaciła nie tylko życiowym doświadczeniem, umiejętnością wnikliwej obserwacji siebie i otaczającej ją rzeczywistości, ale także solidną podbudową teoretyczną - Elżbieta Skorupska-Raczyńska, obroniła na UAM w Poznaniu rozprawę habilitacyjną. Tematem habilitacyjnej dysertacji był „Dykcyonarz Michała Amszejewicza” z 1859 r.

Elżbieta Skorupska-Raczyńska jako pierwsza spośród pracowników naukowych Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie w 1999 r. obroniła doktorat i również jako pierwsza uzyskała habilitację pracując w tej uczelni; inni zdobywali stopnie naukowe będąc zatrudnieni w różnych uczelniach.

Wiersze i literacką sylwetkę Pani Profesor opublikowaliśmy w 4 oraz w 5/6 numerze "Pegaza Lubuskiego".

Stowarzyszenie

Wskrzeszonych Poetów

Ewazja: Skąd pomysł na tę, dość nietypową w dzisiejszych czasach, działalność?

Grażyna Moroz - opiekunka: Wielu młodych ludzi uważa, że pisanie wierszy jest niemodne i nudne. Mimo tego przekonania dwóch moich uczniów z Technikum Elektrycznego : Zbyszek Macudziński i Jan Adamowski zaproponowali zorganizowanie spotkań, na których można byłoby przedstawiać swoje utwory literackie. Tak powstało nasze Stowarzyszenie Wskrzeszonych Poetów liczące teraz dziewięć osób.

Na czym polegają te spotkania?

Na początku robimy herbatę i zajadamy ciasteczka. W tej miłej atmosferze młodzież prezentuje swoje utwory. Są to najczęściej wiersze lub opowiadania. Następnie dzielimy się spostrzeżeniami na temat danej pracy. Potem przechodzimy do ćwiczeń. Najczęściej to ja podaję temat przyszłych utworów, lecz czasami zdarza się tak, że propozycje pochodzą z grupy.

Powiedziała pani, że uczestnicy oceniają wzajemnie swoje prace. Czy w takiej sytuacji nie wybuchają kłótnie?

Wszyscy żyjemy w dobrych stosunkach i wszelkie negatywne opinie nie są odbierane jako obelga lub obraza. Szanujemy swoje poglądy, a wręcz zauważyłam, że młodzież lubi usłyszeć obce, szczere wypowiedzi swoich kolegów. W naszej grupie nie ma przejawów zazdrości, dzięki czemu na spotkaniach panuje swoboda.

Lubi pani tę pracę?

Pracuje mi się świetnie, ponieważ ci młodzi ludzie są pełni pomysłów, często bardzo zaskakujących! Dodatkowo widzę, że spotykają się z czystą przyjemnością. Są otwarci na propozycje, dzięki czemu mogliśmy zorganizować wspólne wieczory poetyckie.

Piszemy co chcemy

Ewazja: Jaki element spotkań najbardziej Ci się spodobał?

Edyta Derkacz - uczestniczka: Podczas naszych spotkań piszemy tylko to, na co rzeczywiście mamy ochotę i na co mamy pomysł. To jest najlepszy sposób na odpoczynek od szkoły i codzienności. Tematy zawsze wybieramy według nastroju, dzięki czemu bardzo przyjemnie się nam pisze.

Kiedy powstał twój pierwszy wiersz?

To było dość dawno. Miałam wtedy chyba 13 lat, czyli cztery lata temu. Obudziłam się w nocy i opisałam to, co widziałam za oknem. Zresztą zawsze piszę pod wpływem chwili, piosenek lub obrazów wywierających na mnie takie emocje, że muszę je opisać. Dzięki Stowarzyszeniu mogę dzielić się swoimi utworami z kolegami.

Ewazja (TMK)

Konkurs dla nauczycieli piszących rozstrzygnięty!

Jury konkursu literackiego zorganizowanego przez Stowarzyszenie Twórcze "Wena" i WOM w Gorzowie: mgr Małgorzata Tyszkiewicz - przewodnicząca, dr. hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska, mgr Anna Makowska-Cieleń - sekretarz, mgr Tomasz Pluta po przeczytaniu 14 prac (pięciu prozatorskich, jednego dramatu oraz ośmiu zestawów poetyckich) postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

A. W kategorii tekstów prozatorskich:

- I nagrodę "GAŚIORA ze złotym piórem" przyznano Anecie Giźńskiej-Hwozdyk z Deszczna za pracę pt. "Listek figowy był zielony".
II i III nagrody nie przyznano. Wyróżnienia przyznano Wincentemu Zdzitowieckiemu za pracę pt. "Ścieżka" i Zofii Frydel-Kośmider za pracę " pt. "Poranna kawka"

B. W kategorii tekstów poetyckich:

- II nagrodę (I nie przyznano) "GAŚIORA ze srebrnym piórem" otrzymała Hanna Kaup za zestaw wierszy;
- III nagrodę - "GAŚIORA z brązowym piórem" otrzymał Lech Jakubowski za wiersze: "Land-art" i "Cisza".

Wyróżnienia i kwalifikację do druku otrzymali:

- Beata Igielska za wiersz "Jesteś blisko", "Jesteś daleko";
- Adam Korzeniowski za wiersz bez tytułu (...W wieku XXI")
- Beata Klary za wiersz "Pierwiosnek"

Jury stwierdza, iż pomysł konkursu jest ze wszech miar godny kontynuacji. Komisja konkursowa jednocześnie żywi nadzieję, że poziom nadesłanych prac będzie z roku na rok coraz wyższy, a publikacja nagrodzonych i wyróżnionych tekstów zachęci innych nauczycieli do realizacji swoich literackich pasji.

„Meteory nad Frankfurtem”

*Zawsze samotne meteory
za jedno nocne zaświecenie,
za moment bycia gwiazdą,
w ciemność zapadają bezpowrotnie.
Samotne martwe meteory.
Jak je odnaleźć wśród kamieni?*

Ten wiersz gorzowskiego poety i rzeźbiarza Karola Parno–Gierlińskiego jest mottem **III Jesiennego Salonu Literatury Polskiej we Frankfurcie n/O**, który przygotowała znana tłumaczka naszej literatury – **Karin Wolff**. Ta poetycka metafora niewątpliwie oddaje niełatwą przecież sytuację polskiej książki na niemieckim rynku wydawniczym oraz jakże trudną rolę tłumaczy po drugiej stronie Odry. Mówiła m.in. również o tym frankfurcka tłumaczka w trakcie „Salonu Pisarzy” w Bibliotece Narodowej (Warszawa, kwiecień 2004), który zorganizował dla Karin Wolff dyrektor biblioteki – **Michał Jagiello**.

Lustro historii i nagroda ministra

Relacje prasowe z Warszawy, jakie ukazały się we frankfurckiej prasie, już w tytule informowały, że: *„Polska literatura jest dla Niemców za trudna”* (Izabela Marczak – *MOZ*, 22.04.br.). Burząc mit zawodu tłumacza, mówi też Wolff, że: *„poświęcając swe twórcze życie Polsce – jest często bezsilna wobec problemów, które musi pokonywać, a jedyną siłą jest miłość i chęć przekazania piękna i myśli swego wybranego narodu”*.

Ten metafizyczny znak czasów wymownie oddaje pięknie wydany program, gdzie ów symboliczny meteor, rozświetli również cztery autorskie wieczory III „Salonu”.

Jesienne spotkania

Realizację spotkań z literaturą polską niemiecka tłumaczka rozpoczęła już w 2001 r. cyklem wieczorów autorskich pt. „Po sezonie” („Nachsaison”). Wtedy to zaprezentowała m.in. swój przekład „Madame” Antoniego Libery. Pozycja ta okazała się książką roku 2000 w RFN!

W następnych dwóch, równie interesujących salonach autorskich na podkreślenie zasługują przekłady „Pianisty” Władysława Szpilmana i „Wspomnienia wojenne” Karoliny Lanckorońskiej. Wśród wyrazów uznania i popularności znajduje się list Prezydenta RFN Johanna Raua do wydawcy i tłumacza wspomnień K. Lanckorońskiej.

Tegoroczny Salon

Gościem **I Wrześniowego Wieczoru, który się odbył 9 września we frankfurckiej bibliotece** był **Józef Tejchma** – były członek Biura Politycznego KC PZPR (1968–80), wicepremier i minister kultury (1980–82). Karin Wolff przeczytała fragmenty jego wspomnień pt. *„W kręgu nadziei i rozczarowań”* we własnym przekładzie na język niemiecki. To interesujące spotkanie poprzedziła 8 września w kinie „Ufa Palast” projekcja filmu Andrzeja Wajdy pt. *„Człowiek z żelaza”*.

II Wieczór 14 października godz. 20⁰⁰ w Teatrze Uśmiechu rozpoczął cykl imprez związanych z popularyzacją twórczości i kultury cygańskiej. Tego wieczoru odbyła się prezentacja bajek cygańskich, które

zebrał znany cyganolog i odkrywca talentu Papuszy, poeta i eseista **Jerzy Ficowski**. Przekłady bajek, jak napisała Karin Wolff w programie, adresowane są do wszystkich zainteresowanych „od 10 do 100 i więcej lat”.

21 października o godz. 19³⁰ w Kleistforum otwarto wystawę warszawskiego fotografika Tomasza Tomaszewskiego *„Cyganie – inni ludzie tacy jak my”* z udziałem autora i cygańskich muzyków z Gorzowa Wlkp.

III Wieczór, 11 listopada godz. 20⁰⁰, foyer kina Ufa Palast 5 będzie poświęcony frankfurckiej promocji wspomnień **Edwarda Dębickiego** pt. *„Ptak umarłych”*. Karin Wolff zapozna miłośników kultury

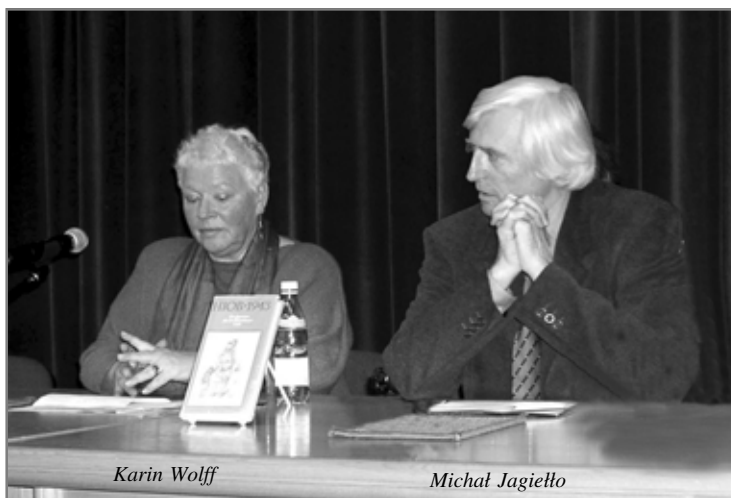
cygańskiej z fragmentami tej niezwykle interesującej książki, opisującej m.in. dramatyczne losy taboru Cyganów polskich w czasie II wojny światowej na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.

IV wieczór 9 grudnia o godz. 20⁰⁰ we frankfurckim Ratuszu poświęcony będzie polskiej klasycy. Karin Wolff przedstawi fragmenty *„Chłopów”* **Władysława Stanisława Reymonta** oraz bożonarodzeniowe tradycje, które za-

warła w autorskiej antologii *„Pod pierwszą gwiazdą”*. Będzie też koledowanie, które przygotowuje twórczyni „Salonu” wraz polskimi artystami.

Na ten ambitny i interesujący cykl spotkań oraz imprez towarzyszących trzeciemu salonowi z literaturą polską, rozpoczynający się od rozrachunku z historią i polskim, posierpniowym przełomem, a na bożonarodzeniowej tradycji kończący – w imieniu Karin Wolff serdecznie zapraszam miłośników książki, jak też twórców i animatorów kultury.

Leszek Bończuk



Karin Wolff

Michał Jagiello

P.S. Na zaproszenie prof. dr Rüdiger Luxa z Ewangelickiej Akademii Badań w Berlinie **Karin Wolff** uczestniczyła również w konferencji poświęconej stosunkom polsko – niemieckim (Krzyżowa, lipiec 2004) z wykładem: *„Literatura – lustrem historii”*. Byli tam wybitni intelektualiści polscy i niemieccy (wśród nich: prof. dr Frederic Hartwig z Uniwersytetu Viadrina, prof. dr Ewa Chojecka z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Edmund Berger z Drezna, Zbigniew Rybka z Głogowa, dr Klaus Schneider z Lipska, prof. dr Günter Schultz z Münster). To cykliczne, zielonoświątkowe spotkanie ludzi nauki i kultury obu krajów (Pfungsttagung Evangelische Forschungsakademie), koresponduje zawsze ze zmienną rocznicą zamachu na Hitlera (20 lipca 1944 r.). Jest więc symbolem antyfaszysmu, pokoju oraz twórczej współpracy.

Za translatorski dorobek i promocję kultury polskiej w Niemczech, minister kultury **Waldemar Dąbrowski** przyznał Karin Wolff nagrodę specjalną, którą uroczystie wręczono 3 września br., w przeddzień jej autorskich wieczorów z literaturą polską. Minister kultury RP na wniosek Wojewody Lubuskiego objął też honorowym patronatem „III Jesienny Salon Literatury Polskiej „Frankfurt n/O 2004”.

Jan Gross

Życie to sport

Dość często życie
Tak nas ustawia,
Że różne sporty
Warto uprawiać.

Gdy w piłkę nożną
Będiesz wciąż grywał,
Wtedy cię łatwo
Nikt nie wykiwa.

Trenuj łyżwiarstwo
(Ciągłe jest w modzie)
Nie będziesz nigdy
W życiu na lodzie.

Dobrze jest poznać
Boksu tajniki
Można stosować
Wszelkie uniki.

A kiedy szefa
Masz jak kacyka,
To pomoc może
Ci gimnastyka.

Biegi przeróżne
Trenuj o świecie,
Wszak bieżaniną
Ciągłą jest życie.

I na tor przeszkód
Też sił uzbięraj,
Jeśli ci w głowie
Sława, kariera.

Naucz się pływać,
Lecz tylko z nurtem,
To nie wpadniesz
Nigdy za burtę

Zasady dżudo
Też warto poznać,
Gdyż chwytły różne
Stosować można.

Udowodniłem
Chyba niezbiecie,
Że życie to sport,
A sport to życie.

Ferdynand
Głodzik**Dajcie mi wszyscy
święty spokój!**

Bezbarwni tępi politycy,
na reelekcję bez widoków,
liderzy zgranych koalicji.
Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Magowie, „zbawcy”, oszołomy,
z przebłyskiem nienawiści w oku,
co tak lubicie ciskać gromy.
Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Spece artyści od lustracji,
którzy spraw multum macie w toku,
a usta pełne demokracji.
Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Potulne szare eminencje,
kręcące szwindle gdzieś na boku.
Ciągłe mnie na was świerzbią ręce.
Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Wszelakiej maści kontrolerzy,
tropiący mnie na każdym kroku,
by sprawdzić wszystko jak należy.
Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Przyjaznych związków twarze blade,
broniące leniów, głąbów, ćwoków,
co się tuczycie z moich składek.
Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Znawcy od handlu i reklamy
Obiecujący mi prezenty,
co ulotkami pstrzycie bramy.
Dajcie mi wreszcie spokój święty!

Gorzów Wlkp. 16.04.2004 r.

Ireneusz K. Szmidt

**Piosenka
antyinwazyjna**

Zza horyzontu armia wraża
biegnie ku nam i nas przeraża.
Lecz nasz Generał mówi: „Chłopcy
nie damy naszej nędzy obcym!
Nie damy pogrześć mowy dziadów!
Jak tylko zbiegną tutaj, na dół,
bagnet na broń! I do ataku!
Czekajcie zatem mego znaku.
Czekajcie! Ja tu zaraz wrócę,
tylko poprawić chcę onuce
i kucnę ździebko

za tym krzakiem...”

To mówiąc się wycofał rakiem.

I kucnął. A wróg coraz bliżej.
A my stoimy. Wszak wódz

przyrzekł

znak nam dać odpowiedni w porę.

Chyba, że zatnie się rozporek,
co nie daj Bóg... Ojej, się zaciał!

Jak wojsko przeciwstawić gaciom?

A wróg tuż, tuż... A wtem Generał
jakoś psychicznie się pozbierał

i zrzucił gatki prawie w biegu

i dumnie stoi już w szeregu.

Rozkaz przetoczył się przez masy:

„Bacność! W tył zwrot!

Odpinać pasy!”

I się na wroga wypinamy -

niech wie agresor gdzie go mamy.

„Cel! Pal!” Niech nienawistne nosy

poczują, że ich mamy dosyć.

Przyhamowała wraża armia,

śmiech ją, a potem strach ogarnia

ścierpła jej z tego strachu skóra

i w tył, do lasu dała nura.

Tu morał. Kiedy walczą mężę

smród czasem bywa też orężem.

Myśl druga - jeszcze bardziej

swojska:

Brak żarcia nie dotyczy wojska.

I jeszcze jeden drobny szczegół -

wódz także musi stać w szeregu.

Tekst „Piosenki...”, z muzyką Marcina Pawlika, śpiewany był na tajnych spektaklach szczecińskiego Kabaretu „Wyrodek” po ogłoszeniu stanu wojennego a z obawy przed militarną interwencją Związku Radzieckiego.